POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 4-go listopada 1944r.* **Rok VI. Nr. 44**

ZAGADNIENIA USTROJOWE

Artykuł niniejszy jest przedrukiem z nr. 12 /116/ "Wiadomości Polskich" głównego organu Armii Krajowej. Przedrukowujemy go tutaj z tą myślą, aby utrzymać łączność z naszymi towarzyszami broni w umęczonym Kraju.

Przez długi czas nauka historii polskiej główną przyczynę osłabienia i upadku państwa widziała w niedomaganiach ustrojowych dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Pogląd ten, wielokrotnie atakowany, obalony do dziś nie został. Podobnie całe ubiegłe dwudziestolecie, zarówno przed jak po roku 1926 i 1935, nacechowane było w sprawach wewnętrznych ostrą krytyką panującego ustroju i walką o jego zmianę. Nic dziwnego, że zagadnienie ustroju przyszłej Polski należy dziś do rzędu tych, których należyte rozwiązanie uważane jest za klucz do lepszej przyszłości.

W pierwszym okresie po klęsce wrześniowej rewizjonizm i roznamiętnienie w stosunku do tego zagadnienia szły tak daleko, iż szereg czynników, zarówno jak na emigracji, głosił konieczność natychmiastowego odrzucenia zasad formalnie obowiązującej konstytucji kwietniowej z roku 1935 i powrotu do formuł marcowych z roku 1921. Dziś atmosfera dyskusji jest już spokojniejsza.

Niemniej i dziś jeszcze dalecy jesteśmy od wyrwania sprawy przyszłego ustroju z gruntu roznamiętniających walk poprzedniego okresu i szukania rozwiązań na drodze spokojnego rozbioru warunków jego celowości w oparciu o jaśniejszą, niżeli w latach 1919/21 świadomość, że poszukujemy nie jakiegoś teoretycznie doskonałego ustroju, lecz ustroju możliwie dostosowanego do praktycznych naszych warunków dzisiejszych, to jest: 1) zgodnego z ogólnymi dążeniami obecnego okresu historii, 2) biorącego pod uwagę całość naszej sytuacji geograficznej i politycznej, 3) zgodnego z myślą przewodnią naszej historii, 4) dostosowanego do ducha społeczeństwa, jego dzisiejszego poziomu i przyszłych potrzeb rozwojowych.

Przyjęcie tego rodzaju założeń prowadzi do odrzucenia zasadniczego pytania, tkwiącego we wzajemnym przeciwstawieniu sobie ducha konstytucji marcowej i kwietniowej, to jest pytania zamykającego się w przeciwstawności: silna władza czy demokracja?

Przeciwstawność ta nie jest słuszna z samej swej natury. Jedną z zasadniczych trosk ustrojowych współczesności, nurtujących od lat kilkudziesięciu zarówno w nauce jak życiu politycznym, jest konieczność znalezienia drogi usunięcia szeregu niedomagań ustrojów demokratycznych, związanych z nadmiernym osłabieniem władzy wykonawczej, bez zabijania, jak to uczynił komunizm, faszyzm czy hitleryzm, istotnej treści demokracji, to jest zasady rządzenia w oparciu o wolę rządzonych.

Interes rządzonych w sensie społecznym nie może być pojmowany w znaczeniu anarchiczno-indywidualnego interesu każdej jednostki, czy każdej grupy społecznej. Może i musi być pojmowany ogólniej, w sensie ogólno-historycznego interesu całości. Stąd demokracja nie jest wcale ustrojem anarchiczno-liberalnym, któryby nikomu nie ciążył, nikogo nie krępował, ustrojem społecznego nieładu, w rodzaju szlacheckiego ustroju dawnej Polski. Demokracja musi być rozumiana jako ustrój społecznego porządku.

W tym znaczeniu przeciwstawienie demokracji i silnej władzy państwowej jest pewnego rodzaju anachronizmem. Przeciwnie, im szersze i pełniejsze są podstawy społeczne demokracji, im bardziej oddalamy się od swoistego elitaryzmu dziewiętnastowiecznych demokracyj, w rodzaju konstytucyjnych monarchij krajów niemieckich, a idziemy w kierunku równomiernego oparcia się o najszerszą podstawę całości sił narodowych—tym niezbędniejsze jest pogodzenie demokratycznej treści społecznej z siłą państwowego ustroju, z tej treści czerpiącego własne soki życiowe.

Podobnie, jeśli chodzi o warunki geograficzno-polityczne i potrzeby przyszłego bezpieczeństwa Polski, musimy być krajem nieustającej troski i gotowości żołnierskiej, planowej i nieprowizorycznej polityki zewnętrznej, patrzenia na całość spraw państwowych z historycznego, nie doraźnie wygodnego punktu widzenia.

Wymaga to siły ustroju, siły władzy państwowej, warunków jej stałości i krzepnięcia. Równocześnie jednak wymaga to wielkiego i powszechnego patriotyzmu, rozumnej odporności na pokusy zewnętrzne, poczucia współodpowiedzialności mas za losy narodu i państwa, powszechnej gotowości do najdalej idących ofiar. I znowuż jest to możliwe tylko w drodze wprowadzenia szczerze demokratycznej treści życia państwowego, nie da się osiągnąć pozorami i szyldem zewnętrznym w rodzaju manifestacyjnego udziału w aktach wyborczych ku zadowoleniu miejscowej władzy administracyjnej.

Jeśli chodzi o idee przewodnie naszej historii, to w przeszłości szczyciliśmy się tym, iż byliśmy krajem, który sztandar swój uczynił z demokratycznego hasła, ciasno wprawdzie i jednostronnie pojętej wolności. Równocześnie jednak gorzko żałować nam przyszło, że w tym wolnościowym pijaństwie ducha zapomnieliśmy o sile państwa. W przyszłości chcemy być ośrodkiem oddziaływania na losy i zespalania sił bliskich nam i pokrewnych narodów. Wymaga to zarówno zdrowego i wzorowego ładu wewnętrznego, planowej polityki państwa, jak i warunków istotnej atrakcyjności społecznej. I znowuż jest to możliwe jedynie przez pogodzenie zasady siły ustroju z zasadą politycznej i społecznej demokracji.

Podobnie, jeśli chodzi o poziom i potrzeby rozwojowe najszerszych mas naszego społeczeństwa to wprawdzie dzisiejszy stan wyrobienia politycznego tych mas, na skutek zarówno długiej niewoli, jak i długiego upośledzenia społecznego, nie zabezpiecza dostatecznie państwa od skutków podatności tych mas na nie zawsze uczciwą demagogię, równocześnie jednak jedynym sposobem osiągnięcia pod tym względem istotnej, koniecznej zmiany jest pełne oparcie się nie o teorię, lecz o praktykę szczerej i uczciwej demokracji przy równoczesnym zachowaniu siły władzy państwowej.

Wnioski życiowe z tych teoretycznych rozważań wysuwają się same. Przyszła rewizja podstaw naszego ustroju jest konieczna, powinna jednak iść nie po linii powrotu od zasad konstytucji kwietniowej ku zasadom konstytucji marcowej w zakresie osłabienia roli i powagi czynników zwierzchnich w państwie, a więc roli Prezydenta, Rządu, czy nawet prawnie uznanej i przewidzianej roli Naczelnego Wodza, ale po linii podniesienia poderwanej zarówno przez postanowienia konstytucyjne, jak przez pozakonstytucyjne praktyki powagi i roli Parlamentu, oraz usunięcia punktów, stwarzających łatwość pozaprawnego działania i wpływu administracji państwowej.

Ryngraf przywieziony niedawno z Polski przez dr. Józefa Rettingera i złożony w kościele polskim w Londynie.
Na odwrocie jest wyryty napis: "Od Kościoła Polski Walczącej dla polskiego kościoła w Londynie. Polska, dnia 26 lipca 1944."



Doświadczenia dwudziestolecia nie powinny być zmarnowane. Przeprowadziły nas one poprzez dwie skrajności, z których żadna nie okazała się dobra. Ani skrajność pierwszego okresu, który można by scharakteryzować jako okres słabego rządu i teoretycznie silnego parlamentu, ani skrajność okresu następnego, okresu teoretycznie silnego rządu i słabego parlamentu. W ogólnym wyniku okazało się, że zarówno słabość rządu jak słabość parlamentu prowadzą do słabości państwa. W pierwszym wypadku łatwo ustala się dominanta wygody rządzonych, w drugim dominanta wygody zarówno rządzenia jak rządzących w stosunku do interesu państwowego. Zarówno hamujący możność działania przerost kontroli parlamentu nad pracą realizacyjną rządu, jak usuwający konieczność samokrytycznej czujności jej zanik — prowadzi do tych samych następstw.

Stąd też hasłem przyszłości nie może być ani silny rząd przy słabym parlamencie, ani silny parlament przy słabym rządzie, lecz jedynie silny rząd przy silnym parlamencie. Oczywiście, stan tego rodzaju może stwarzać trudności, może nie zabezpieczać od ostrych nawet konfliktów, lecz zarówno z punktu widzenia interesów państwa, jak zdrowego rozwoju stosunków społecznych, mniej niebezpieczne są konflikty siły, niżeli marazm słabości.

Dotykamy tutaj jednego z zasadniczych elementów naszej uprzedniej sytuacji ustrojowej — zagadnienia praworządności. Jeden z wybitnych mężów politycznych epoki pomajowej, twardy bojownik niepodległości i niewątpliwie głęboki patriota, użył był niegdyś określenia, brzmiącego mniej więcej w ten sposób, iż "mniejszym złem jest połamanie kości kilku politykom, niżeli konieczność wytaczania armat na ulicę."

Zdanie to może mieć pozory słuszności; z punktu widzenia przemiany stosunków społecznych jest wysoce niebezpieczne. Mniejszym bowiem złem jest otwarta wojna domowa, niżeli codzienne podważanie czy łamanie prawa, niezależnie od tego czy następuje ono ze strony rządzonych, czy rządzących. Pod tym względem grzechy epoki poprzedniej powinny być wymownym ostrzeżeniem na przyszłość.

Streszczając, stwierdzić należy, że zarówno rewizja konstytucji kwietniowej, jak przywrócenie demokratycznej równowagi czynników i źródeł władzy państwowej — jest zagadnieniem o naturalnej dojrzałości i sile. Życzyćby sobie jednak należało, by w uszach przyszłych autorów tej rewizji ustrojowej, nieustannie brzmiały niedocenione przez twórców konstytucji marcowej z roku 1921 ostrzegawcze słowa Michała Bobrzyńskiego, mówiące pod adresem całości Narodu Polskiego:

"Lęk przejmuje, gdyby, odzyskawszy państwo, ujrzał swoje zadanie w obronie interesu jednostki przed niwelacją państwa, a miłość ojczyzny i poświęcenie dla niej za grzech poczytał."

Wojna obecna, będąca już nie szkołą, lecz uniwersytetem patriotyzmu dla mas najszerszych, powinna nas zabezpieczyć przed skutkami tego rodzaju łatwych i wygodnych, lecz niezmiernie niebezpiecznych i szkodliwych prób stawiania interesów jednostek ponad interesy całości.

Przegląd tygodniowy

BITWA W HOLANDII I WE WŁOSZECH

Punkt ciężkości operacyj na froncie zachodnim przeniósł się czasowo do Holandii. W ostatnim tygodniu wywiązała się tu wielka bitwa na zachodniej ścianie klina wbitego przez Sprzymierzonych, którzy przeszli teraz do decydującego natarcia na siły nieprzyjacielskie, jeszcze trzymające pas nadmorski na południe od Renu. Brytyjczycy generała Dempseya wzięli Hertogenbosch i Tilburg. Na lewo od nich polska dywizja pancerna wdarła się wraz z Brytyjczykami do wielkiego, historycznego miasta Breda. Dalej na lewo Kanadyjczycy zdobyli Bergen op Zoom i zdobywają stopniowo półwysep Beveland, oczyszczając tereny na południe od ujścia Skaldy.

Otwarcie wyjścia z portu Antwerpii na morze wydaje się wreszcie bliskie. Od tego zaś zależy niezmiernie wiele: zarówno możność rozwinięcia, zasilania i zaopatrywania potężnych sił przeznaczonych do dalszej i rozstrzygającej ofensywy na Niemcy, jak możność przyjścia z pomocą uwolnionym krajom przez dostarczenie tego, co niezbędne do przywrócenia życia gospodarczego, przeciętego przez działania wojenne. Holandia zachodnia, zalana i wygłodzona, będzie potrzebować ratunku.

Cechą uderzającą operacyj w Holandii jest to, że bitwa toczy się z frontem odwróconym: Brytyjczycy, Polacy, Kanadyjczycy atakują frontem na zachód lub północny zachód, twarzą do morza, plecami do Niemiec. Niemcy usiłują wpaść od zachodu na plecy armii Dempseya, atakując bok wschodni "klina" trzymany przez wojska amerykańskie i poczynili chwilowo pewne postępy. Ich przeciwnatarcie, mimo szans wynikających z położenia operacyjnego, nie wywrze, jak się zdaje, wpływu na rozwój wydarzeń.

W chwili gdy gen. Maczek szturmem wziął Bredę, warto przypomnieć, że kiedyś lat temu trzysta dwadzieścia, w czasie sławnego oblężenia tej fortecy przez Hiszpanów, przy ich armii odbywał *"stage"* nasz królewicz Władysław, podpatrując arkana nowoczesnej wojny i "manierę olenderską" fortyfikacji i użycia artylerii. Tym razem żołnierz nasz nie jest już widzem, a zdobywał Bredę nie na Holendrach, ale po to, by ją przywrócić wolną temu narodowi, kochającemu wolność i zawsze przyjaznemu Polsce.

We Włoszech ofensywa 8. armii na wschodniej części frontu, chwilowo zatrzymana, znów ruszyła naprzód. Nasz II. Korpus po paru tygodniach wytchnienia jest znowu na froncie, tym razem w trudnym, górzystym terenie, posuwa się w walce w kierunku miasta Forli, zdobywając jedną pozycję górską za drugą; a w sam dzień "marszu na Rzym" nasi zajęli Predappio, miejsce urodzenia Mussoliniego.

Na obu zatem frontach nasi biją się znowu i "o Polakach znów na świecie głośno".

KAMPANIA WSCHODNIO-PRUSKA

Na wschodnim froncie wydarzenia ostatniego tygodnia przyniosły bitwę w wielkim stylu na wschodnim pograniczu Prus Wschodnich, dokładnie na tym samym obszarze, na którym rozegrała się pierwsza większa bitwa przed trzydziestu laty, w pierwszym miesiącu tamtej wojny światowej. Jak wtedy armia Rennenkampfa, tak dzisiaj armie Czerniachowskiego atakują w kierunku Wystrucia i Królewca, w szerokiej bramie pomiędzy dolnym Niemnem a jeziorami Mazurskimi; Rosjanię jak wtedy dotarli do Gąbina, o który toczy się wielka, nierozstrzygnięta dotąd bitwa. Niemcy użyli w niej dużych mas broni pancernej i rzucają w bój wszystkie odwody, jakie mogą ściągnąć, oraz świeżo utworzone, improwizowane formacje *"Volkssturm"*.

Na lewo od pola natarcia armii Czerniachowskiego obszar jezior Mazurskich — część południowo-wschodnia Prus Wschodnich — stanowi potężną zaporę dla operacyj i oddziela "bramę wystrucką", wiodącą od wschodu w głąb kraju, od "bramy olsztyńskiej", wiodącej w głąb Prus Wschodnich od południa, znad Narwi. Tędy przed trzydziestu laty szła armia rosyjska Samsonowa, wdzierając się głęboko na tyły związanej bitwą z Rennenkampfen pod Gąbinem armii niemieckiej. Niemcy zdołali wtedy wyzyskać swe położenie centralne w stosunku do rozdzielonych obszarem jezior armii rosyjskich; oderwali się od wschodniego przeciwnika i przesuwając błyskawicznie po liniach wewnętrznych swe wojska, opadli z nienacka armię Samsonowa i zgnietli ją w bitwie, nazwanej później bitwą pod Tannenberg /niemiecka nazwa bitwy pod Grunwaldem/.

Dzisiaj w kierunku, którym szedł Samsonow, prą armie generała Zacharowa, wywalczając sobie wyjścia z linii rzeki Narwi od Łomży po Serock. Ofensywa ta może odegrać rolę rozstrzygającą, jeśli gros sił przeciwnika, walczące we wschodniej części frontu pruskiego, utraci swobodę manewrowania przez zużycie i uwikłanie w walkę.

Dodatkowo trzeba zaznaczyć, że trzecia jeszcze grupa armii rosyjskich, Bagramiana, częścią sił prze na Kłajpedę i Tylżę; w razie sforsowania Niemna groziłoby to wyjściem Rosjan od północy na tyły Niemców walczących w "bramie wystruckiej" pod Gąbinem.

Ofensywa od południa, znad Narwi, rozwinąć się może tylko w razie opanowania przez Rosjan trójkąta Zagrze — Modlin — Warszawa. Inaczej pozostawałaby groźba uderzenia na tyły tych sił sowieckich zza Wisły. Odnowiły się też walki o ten ważny węzeł strategiczny; toczą się one już wewnątrz trójkąta, którego zupełne uprzątnięcie stało się już teraz pilne dla naczelnego wodza sowieckiego.

Zwycięskie zakończenie operacyj przeciw fortecy Prus Wschodnich wymaga jeszcze wielkich wysiłków i czasu. Jest to niewątpliwie kierunek największego oporu.

INNE FRONTY

Nie mamy jasnego przeglądu sytuacji w Jugosławii i na Węgrzech poza postępami wojsk sowieckich nad dolnym Dunajem, między Dunajem a Cisą, na Rusi Zakarpackiej, a Jugosłowian w Dalmacji, gdzie zawładnęli Splitem i znaczną przestrzenią wybrzeża.

Nie wiemy, czy postępy sowieckie na pograniczu Rusi Zakarpackiej i Słowaczyzny zdołają odciążyć w porę powstańców słowackich, którzy po początkowych dużych sukcesach i zebraniu poważnych sił, ulegają stopniowo przewadze niemieckiego lotnictwa, broni pancernej i artylerii. Brak dostatecznej pomocy materiałowej i w tym wypadku zaciążył na losach powstania. Pragniemy, by oszczędzony był naszym pobratymcom słowackim gorzki los powstania Warszawy.

Nad Bałtykiem postępuje wyciskanie wojsk niemieckich z Kurlandii /Łotwy południowej/. Idzie już zapewne o tylne straże jeszcze trzymające Windawę i Libawę, skąd spróbują wycofać się morzem.

Wielkim wydarzeniem jest nagłe opanowanie norweskiego portu Kirkenes przez wojska sowieckie i dalsza ich ofensywa na terytorium Norwegii, do której wkroczyły w porozumieniu z jej legalnym rządem.

Wspomnieliśmy już o dużym zagrożeniu wycofujących się z Laponii dywizyj niemieckich przez opanowanie Petsamo. Obecnie zagrożenie to wzrosło niepomiernie. Postępy Rosjan nad Oceanem Arktycznym wywołały także w następstwie ucieczkę "Tirpitza" z Alten Fiord do Tromsö. Olbrzyma, mocno okaleczałego, musieli Niemcy holować. Pod Tromsö dopadły go po raz siódmy bombowce brytyjskie; nie znamy jeszcze rozmiarów zniszczenia. Z nim dogorywa duża pierwotnie potęga marynarki niemieckiej. Jest to już zupełny "zmierzch bogów".

ZWYCIĘSTWO MORSKIE U FILIPIN

Wspomniana w poprzednim przeglądzie ofensywa MacArthura na wyspach Filipińskich wywołała, jak na pewno przewidywano, potężną ripostę japońską; trzy floty japońskie usiłowały koncentrycznie zaatakować i zniszczyć ogromną amerykańską armadę, a tym samym zamienić operację desantową w nieuchronną klęskę wojsk, które wylądowały na wyspach.

Bitwa — a raczej szereg bitew, w których bombowce z lotniskowców znowu dokonały z obu stron głównej roboty — skończyła się ciężką porażką Japończyków: Według raportu admirała Nimitza na 60 okrętów japońskich trafiono 58, zatopiono na pewno 24, w czym 2 pancerniki, 4 lotniskowce, 9 krążowników. Flota amerykańska nadal panuje na wodach na wschód od Filipin i osłania olbrzymią flotę desantową i konwoje.

Japończycy chwalili się, że odnieśli zwycięstwo większe, niż Pearl Harbour i zniszczyli flotę amerykańską. Zdarzało się nieraz w bitwach morskich, że obie strony przypisywały sobie zwycięstwo. Probierzem jego nie jest koniecznie stosunek strat — choć w tym wypadku amerykańskie były na pewno nieporównanie mniejsze — jest nim osiągnięcie zamierzonego celu operacyjnego. Zdaje się nie ulegać wątpliwości ,że zamiar japoński został udaremniony.

Rozgłoszono w pierwszej chwili, że po doznanym ciosie japońska marynarka nie podźwignie się już do nowej walki. Dzisiaj dementuje się ze strony amerykańskiej tę optymistyczną ocenę. Należy oczekiwać nowych wielkich bitew morskich. Rozegrają się one zgodnie z wolą Amerykanów, narzuconą przeciwnikowi i w narzuconych mu warunkach.

ODGŁOSY KONFERENCJI MOSKIEWSKIEJ

Z odgłosów konferencji moskiewskiej najbardziej doniosłym była znana z radia i dzienników mowa premiera Churchilla wygłoszona 27 października w Izbie Gmin. W sprawie polskiej mówił on o konieczności układu, któryby pozwolił na stworzenie na ziemi polskiej rządu uznanego przez wszystkie zainteresowane wielkie mocarstwa i w ogóle przez wszystkie te rządy zjednoczonych narodów, które dziś uznają tylko Rząd Polski w Londynie. Podkreślił przy tym mocno, że Polska musi być wolna, niepodległa, suwerenna i chociaż w innych granicach, aniżeli przed wojną, nie słabsza, a bezpieczniejsza. Układ ten uzależnił od przyjęcia przez Rząd polski rad Rządu brytyjskiego w sprawie ustępstw terytorialnych, powołując się na udzielane jeszcze w początku bieżącego roku; nacisk kładł przy tym na potrzebę prędkich postanowień i niebezpieczeństwo odwłoki.

Nie podejmujemy tu dyskusji w sprawie naszych granic i praw. Zbędna ona wśród Polaków. Jeśli bowiem wielki, brytyjski, mąż stanu w swej mowie wspomniał o rozdziale między Polakami, to zaszła pomyłka. Polacy, pozostali w Warszawie — to polegli i zmarli. Ci zginęli za tę samą sprawę, za którą walczy Rząd polski i Siły Zbrojne na obczyźnie. Nie ma rozdziału między żołnierzem, który bił się na Starym Mieście, a tym, który się bił pod Cassino czy Falaise, czy Bredą. Nie ma rozdziału między nimi a Rządem, między Rządem a narodem, gdziekolwiek żyją Polacy. Wola narodu polskiego jest jedna i jest wiadoma światu. W grze są teraz plany podziałów terytorialnych, nie zaś jakieś podziały między Polakami. Gdy w r. 1940 "*Daily Worker*" winił "imperializm brytyjskich plutokratów" o przedłużanie wojny, nikt przecież nie sądził poważnie, że wspaniały naród brytyjski jest rozłamany.

TRIARIUS

ODEZWA RZĄDU R.P. DO POLAKÓW ZAMIESZKAŁYCH WE FRANCJI, BELGII I WK. KS. LUKSEMBURGU

POLACY!

Zwycięskie Armie Sprzymierzonych gromią odwiecznego naszego wroga na ziemiach, francuskiej, belgijskiej, W. Ks. Luksemburgu i holenderskiej.

Przy ich boku Polskie Siły Zbrojne wzbudzają swym męstwem podziw świata i wdzięczność wyzwalanych narodów.

Wyrębujemy ponownie mieczem należne nam miejsce wśród wolnych Narodów Świata.

Żołnierz polski, marynarz i lotnik walczy i zwycięża na lądzie, morzu i w powietrzu.

Armia Krajowa zmaga się w bohaterskiej, bezprzykładnie ofiarnej walce na ziemiach polskich.

Polskie Siły Zbrojne walczące przy boku Aliantów potężnie wyposażone w sprzęt wojenny nieustannie rosną w siłę.

Gdy Polska przed pięciu laty znalazła się w najcięższej potrzebie, wychodźstwo polskie we Francji, Belgii i W. Ks. Luksemburgu dowiodło swej ofiarnej gotowości ratowania Ojczyzny, wypełniając szeregi odtwarzanych Polskich Sił Zbrojnych.

Później przez lata okupacji wykazało ono niezłomnego ducha oporu w walce czynnej w organizacji podziemnej P.O.W.N.

Dzisiaj, gdy dla krajów, w których znalazło gościnę, przyszedł dzień wyzwolenia, a Polska jest w najcięższej potrzebie, wychodźstwo raz jeszcze pośpieszy Jej z pomocą.

Ojczyzna wzywa swych najlepszych synów do ochotniczego wstępowania w szeregi Polskich Sił Zbrojnych.

Wiemy, że natychmiast odpowiecie na to wezwanie!

Zgłaszajcie się do Polskich Punktów Zaciągowych, gdzie otrzymacie instrukcje zaciągowe.

Niech żyje POLSKA!

Prezes Rady Ministrów R.P.
/—/ Stanisław Mikołajczyk

Minister Obrony Narodowej
/—/ Marian Kukiel, gen. dyw.

Wojna na morzu

TROCHĘ POLITYKI MORSKIEJ . . .

W roku 1939 Hitler chwalił się, że nie popełnił błędu Wilhelma II i nie prowadzi wojny na dwa fronty. Nieco później oświadczył, że nie lęka się blokady brytyjskiej, bo na południu i na wschodzie posiada przyjaźnie usposobionych sąsiadów.

A dziś prasa londyńska publikuje wywiad z włoskim admirałem Franco Maugeri, który w r. 1943 odwoził Mussoliniego na wyspę Ponzo. Wygnany Duce przyznał wówczas, że przyczyną wszelkich nieszczęść był upór Hitlera: "Führer nie tylko bowiem nie chciał zdobywać Egiptu, nie chciał pomóc Włochom w Afryce przez pierwsze dwa lata wojny, ale wbrew radom Mussoliniego rzucił się na Rosję, choć uprzednio, zawarłszy z nią sojusz pod nosem siedzących w Moskwie Anglików, wygrał bitwę polityczną o przymierze z Sowietami i zabezpieczył sobie tyły" . . .

Nie wszystko jest jednak prawdą w oświadczeniu wygnanego Benita. Słusznie skarży się on, że przez dwa lata wojsko niemieckie trwało w oczekiwaniu, podczas gdy jego "*arditi*" i "*bersaglieri*" brali cięgi od słabszych sił brytyjskich czy greckich. Jednak napaść Hitlera na Rosję nie wynikała jedynie z uporu czy zachłanności. Bowiem — tu właśnie jest sedno sprawy — przyduszony tą rzekomo bezskuteczną blokadą brytyjską, Hitler zmuszony był w Rosji szukać chleba i nafty. Nie mogąc otrzymać tego co chciał dobrowolnie, uległ namowom nieopatrznych sztabowców . . . i wsiąkł.

Jeszcze w końcu 1941 r. w jednym z położonych na Wschodzie obozów jeńców polskich wydawano pokryjomu gazetkę. Gazetka ta w chwili katastrofy greckiej pisała: "Nie należy martwić się sytuacją. Niemcy działają po liniach wewnętrznych, to też mogą przerzucać w dowolnym kontynentalnym kierunku, w wybranym przez siebie czasie, swobodnie zebrane siły. Brytyjczycy nie mogą być na peryferiach jednakowo silni wszędzie. Jednak morze zawsze kładzie kres operacjom niemieckim i W. Brytania zyskuje wówczas cenny czas na dalsze gromadzenie sił i zasobów. Gdy wskutek przewagi przemysłowej Anglo-Sasów szala przeważy się na ich stronę, Niemcy znajdą się w położeniu oblężonej twierdzy i zmykać będą czym prędzej z jej przedpola, podczas gdy floty sprzymierzone, lądując w strategicznych punktach coraz to nowe siły, zduszą Rzeszę i jej satelitów w żelaznych okowach potęgi morskiej".

Okazało się więc, że odcięty od świata "szary" Polak był lepszym prorokiem od Hitlera i Mussoliniego. Nie ma w tym jednak żadnego czarnoksięstwa . . . Po prostu Polaków znał się dobrze na sprawach morskich i historię wojen opanował należycie. Ląd nie przesłaniał mu morza, a zamiłowanie do Marynarki nie ograniczało się, jak u Wilhelma II, Hitlera czy Mussoliniego, do parad, przeglądów i podróży politycznych, podkreślanych salutem dział.

I tak się stało, że wszystkie lądowe zwycięstwa Hitlera na nic się nie zdały. Zupełnie tak zwycięstwa Wilhelma, czy nawet Napoleona. Bo Anglo-saski przeciwnik, panując na morzu, panował nad sytuacją. Marynarka dała mu czas potrzebny na rozbudowę wojska i lotnictwa. Dała sprzęt i zasoby zza oceanu. Dała miliony ludzi przewiezionych bezpiecznie przez morza.

CO SIĘ DZIAŁO NA FILIPINACH

Mądry jest kto zgadnie co się działo na wodach Filipin. Amerykanie twierdzą, że zniszczyli flotę japońską i ścigają jej resztki. Japończycy — że zniszczyli amerykańską i że Ameryka już przegrała wojnę. Prawda zapewne leży po środku.

Komunikaty U.S.A. podają własne straty: lotniskowiec floty — "Princetown", 2 lotniskowce pomocnicze i 3 kontrtorpedowce oraz kilkadziesiąt samolotów. Japończycy przyznali się do straty okrętu liniowego typu "Yamashiro", lotniskowca, 2 krążowników i 2 kontrtorpedowców oraz nieznacznej ilości samolotów. To wszystko wydaje się w granicach możliwości.

Natomiast gorzej jest ze stratami stron przeciwnych. Amerykanie twierdzą, że zatopili, względnie uszkodzili 40 okrętów, z czego za zatopione z pewnością uważają: okręt liniowy, 2 lotniskowce, 5 krążowników i 2 kontrtorpedowce. Do tego należy dodać 200 samolotów. /Dane na dzień 30-go października/.

Japończycy twierdzą, że zestrzelili 500 samolotów /prócz na lotniskowcach/, zatopili 8 lotniskowców, 3 krążowniki, 2 kontrtorpedowce i 4 transportowce, uszkodzili około 20 okrętów bojowych i transportowych. Już przed dwoma tygodniami głosili, że w pierwszej bitwie koło Filipin /Amerykanie o niej nic konkretnego nie podali/ zatopili 500.000 ton okrętów i 22.000 ludzi. Wydaje się tedy dziwne, skąd Amerykanie biorą jeszcze tak liczne okręty do . . . panowania na rozległych wodach Pacyfiku, od Alaski do Australii.

Konkretnie biorąc stwierdzić do tej pory można, że Japończykom nie udała się koncentracja eskadr, płynących z trzech kierunków /eskadry te zaatakowane zostały oddzielnie przez III flotę adm. Halseya i VII flotę adm. Kinkayda/, oraz nie udało im się zniszczenie desantu amerykańskiego na wyspach Leyte i Samar.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Działający na wodach Archipelagu Greckiego O.R.P. "Garland" cytowany był w sygnałach sił morskich Bliskiego Wschodu za skuteczną akcję bojową, której rezultatem było zatopienie okrętu niemieckiego. Szczegóły na potem.

"Krakowiak" i "Ślązak" działały u brzegów Francji i Holandii, przy czym "Ślązakowi" przypadł w udziale zaszczyt eskortowania J. Kr. Mości Jerzego VI, w czasie powrotu z inspekcji wojsk, "Piorun" i "Błyskawica" wykonywały w dalszym ciągu patrole blokadowe na Atlantyku, gdzie Niemcy tkwią jeszcze w Nantes, St. Nazaire, Rochefort, La Rochelle, Royat i około Biarritz.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

23 *p a ź d z i e r n i k a : W Moskwie ogłoszono o wielkiej ofensywie na Prusy Wschodnie. Zajęto Szyrwinty, Stołupiany, Rominty, Gołdap i Ełk.*

—W. Brytania, Stany Zjedn., Z.S.R.R. i inne państwa uznały rząd gen. de Gaulle za tymczasowy rząd Francji.

—Prezydent R.P. nadał marsz. Montgomery i gen. Crerar, dowódcy I. Armii Kanadyjskiej, w ramach której walczy Dywizja Pancerna — krzyże srebrne Virtuti Militari.

24 *p a ź d z i e r n i k a : W nocy z 23/24 lotnictwo brytyjskie bombardowało Essen. Zrzucono 4.500 ton bomb.*

—Wojska sowieckie zajęły w Polsce Augustów.

25 *p a ź d z i e r n i k a : II. Korpus działając w dolinie Bidente zajął kilka wzgórz.*

—Wojska sowieckie zajęły Kirkenes w Norwegii.

—Cała Transylwania została zajęta przez Czerwoną Armię.

—Na płn. zach, od Pragi /w Polsce/ toczą się walki lokalne między Czerwoną Armią a oddziałami niemieckimi.

—W Waszyngtonie ogłoszono o zwycięskiej bitwie morskiej z flotą japońską, koło Filipin.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie i brytyjskie bombardowało b. silnie Essen i Hamm.

26 *p a ź d z i e r n i k a : Wojska sowieckie zajęły Munkaczewo w Czechosłowacji.*

—Oddziały II. Korpusu zajęły dwa wzgórza na wsch. od drogi głównej Pontassive-Forli.

—Lotnictwo amerykańskie i brytyjskie silnie bombardowało za dnia ośrodki przemysłowe w Niemczech.

27 *p a ź d z i e r n i k a : Wojska Sprzymierzonych zajęły Tilburg oraz lądowały na płd. brzegu półwyspu Beveland w Holandii.*

—Wojska sowieckie zajęły Użhorod.

—Premier Churchill składając w Izbie Gmin sprawozdanie z rozmów w Moskwie mówił o sprawie polskiej.

28 *p a ź d z i e r n i k a : Sprzymierzeni w Holandii zajęli Bergen. Polska Dywizja Pancerna walczy na wsch. od Bredy, w rej. Rijen.*

—Wojska sowieckie zajęły Jabłonnę, koło Warszawy.

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Kolonię.

—Weszła w życie umowa polsko-francuska o zaciągu ochotniczym obywateli polskich we Francji do Polskich Sił Zbrojnych.

29 *p a ź d z i e r n i k a : Polska Dywizja Pancerna zajęła miasto Breda w Holandii.*

—Oddziały II. Korpusu zajęły m. Predappio, miejsce urodzenia Mussoliniego.

—Lotnictwo brytyjskie atakowało okręt niemiecki "Tirpitz" koło Tromsoe w Norwegii. Przynajmniej jedna bomba 12.000 funtowa /lb./ trafiła okręt.

—W Moskwie podpisany został układ o zawieszeniu broni między Bułgarią a Z.S.R.R., W. Brytanią i St. Zjednoczonymi.

Sztandarowe nazwiska Warszawy

SYMBOLE WALKI O WOLNOŚĆ TRZECH POKOLEŃ

Korpus Warszawski, walczący w pamiętnych dniach sierpnia i września tego roku pod wodzą gen. Bora-Komorowskiego, ówczas dowódcy Armii Krajowej, dziś Wodza Naczelnego, składał się z trzech większych jednostek, występujących pod nazwami: dywizji im. Romualda Traugutta, dywizji im. Stefana Okrzei i dywizji im. Macieja Rataja. Trzy sztandarowe nazwiska — symbole Warszawy podziemnej, walczącej na śmierć i życie. Dobór nazwisk bynajmniej nieprzygodny i nieprzypadkowy — dobór, oddający najgłębszą istotę czynu stolicy.

Wymowa skojarzenia trzech nazwisk tkwi w tym, że idealnie się dopełniają i że łącznie wzięte, ogarniają różnorodne, a podstawowe elementy Polski konspiracyjnej, wyrażają różnorodność środowisk społecznych, z których wywodzą się ludzie, noszący te nazwiska, różnorodność postawy wobec życia, różnorodność temperamentu i odcieni ideologii społeczno-politycznej — przy wspólnej linii zasadniczej, którą była i jest walka o Polskę niepodległą i demokratyczną.

Traugutt, ziemianin — intelektualista, w pewnym okresie życia inżynier, jest postacią do pewnego stopnia charakterystyczną dla tej części warstwy szlacheckiej, która w wieku XIX-ym stopniowo napływała do miast i przyczyniła się do wytworzenia warstwy inteligencji pracującej. Okrzeja — to piękny, a zarazem bardzo charakterystyczny typ polskiego robotnika. Rataj wywodził się z warstwy chłopskiej i był jednym z przywódców politycznych polskiego ruchu ludowego.

Ponadto nazwiska te symbolizują czyny trzech polskich pokoleń, bliskich sobie w czasie i kolejno zjawiających się na dziejowej widowni: Traugutta stracono na szubienicy w r. 1864, Okrzeja poległ w r. 1905, a Rataj został rozstrzelony w r. 1941. Oto jedna jeszcze przyczyna, dla której zestawienie trzech nazwisk ma tak wielką wymowę.

Wszyscy trzej wreszcie, bez względu na to, gdzie się urodzili i gdzie spędzili większą część swego życia, przez czyn życia najważniejszy związani są z Warszawą i topografia tragiczna stolicy określa dokładnie miejsca ich bohaterskiej śmierci: stoki Cytadeli, plac Grzybowski, oraz trzecie, nieznane jeszcze miejsce, gdzie rozstrzelano Rataja.

ROMUALD TRAUGUTT

Traugutt — patriota i demokrata najprawdziwszy, szczery i głęboki, był człowiekiem, którego postawę życiową określała chrześcijańska żarliwość religijna. Idea chrześcijańska dawała mu owo wspaniałe światło wewnętrzne, spokój i równowagę, tak bardzo potrzebne ludziom, biorącym na siebie ciężar odpowiedzialności w trudnych czasach, oraz silną wolę i bezkompromisowość wobec zła, które za czasów Traugutta ucieleśniło się na świecie w ucisku narodu polskiego i kilku innych narodów Europy, oraz w niedoli chłopskiej. Złu temu Traugutt — chrześcijanin wypowiedział walkę bezkompromisową i prowadził z żelazną konsekwencją do końca, choć na długo przed tym końcem walki wiedział, że czeka go śmierć z rąk oprawcy. Jest ideałem i wzorem polskiego żołnierza i polskiego dowódcy.

Nim wiosną 1863 r. zdecydował się przystąpić do powstania, wiele walk wewnętrznych musiał stoczyć ze sobą, bowiem będąc realistą, miał wątpliwości, czy powstanie doprowadzi do upragnionego celu. Od chwili jednak powzięcia decyzji chwycenia za broń, nie dopuszczał do umysłu wątpliwości i wahań, i walczył nieugięcie, bez względu na ponurą rzeczywistość, która go otaczała i zdawała się mówić, że walka jest beznadziejna.

Walczył w okolicach Kobrynia na Polesiu, jako dowódca jednego z większych, najbardziej karnych i najbardziej ruchliwych oddziałów partyzanckich. Dał się poznać swym podkomendnym, jako dowódca troskliwy o ich dobro, zarazem jednak wprost straszny w swym gniewie i bezwzględności wobec prób nieposłuszeństwa i wichrzeń. Stoczył kilka zwycięskich bitew. W lecie jednak oddział jego został zdziesiątkowany, a on sam ranny.

Po wyleczeniu się stanął wobec pytania: czy losy słabnącego powstania są we właściwym ręku, i czy on, Traugutt, człowiek silny, nie zdołałby, stanąwszy na czele ruchu, lepiej sprostać zadaniu i walkę przedłużyć. Ówczesny Rząd Narodowy wskutek niewyrobienia politycznego, czy zbyt młodego wieku swych członków popełniał błędy. Zamysł Traugutta nie świadczy w najmniejszej mierze o ambicji osobistej, wyrósł natomiast z wielkiego poczucia odpowiedzialności za losy narodu. Tego poczucia odpowiedzialności za cały naród nikt Trauguttowi nie narzucał /był bardzo mało znany/ — zamysł stanięcia na czele ruchu dyktowało mu sumienie patriotyczne, wrażliwe i czujne, które nie pozwalało mu zacieśnić działalności do terenu dotychczasowych walk. Podróż polityczna do Paryża utwierdziła go w słuszności zamiaru pochwycenia steru, choć wiedział, że bierze na swe barki ciężar prac i trosk nadludzkich. W październiku 1863 r. objął Dyktaturę powstania.

"DYKTATOR" POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Wyraz "Dyktatura" ma w tym wypadku znaczenie bardzo szczególne, a właściwe jedynie dziejom Polski. Nie ma, rzecz prosta, Dyktatura 1863/64 r. żadnego związku ze współczesnym pojęciem dyktatury, opartej na systemach totalistycznych. Była przejawem nie terroru i samowoli, lecz "rządu dusz", opartego na sile moralnej, a konieczność jej istnienia była uzasadniona przez fakt, że nie było nikogo, kto by władzę z Trauguttem mógł dzielić.

Przez 6 miesięcy kierował losami powstania z ustronnego mieszkania przy ulicy Smolnej w Warszawie. Stykając się z paroma tylko łącznikami, ogarniał jednak w drobnych szczegółach całokształt akcji zbrojnej i utrzymywał łączność z zagranicą.

Dzisiejszemu ogółowi polskiemu, czerpiącemu wiedzę o styczniowym powstaniu ze zwięzłych podręczników historii, obcy jest pewien, dość istotny szczegół, związany z losami Traugutta: nie odrazu stał się on wielkiej miary postacią historyczną. W okresie Dyktatury nazwisko jego było poza kilkoma ludźmi najzupełniej nieznane; gdy go stracono na szubienicy 5 sierpnia 1864 r., ludność Warszawy dowiedziała się o nim, nie zdając jednak sobie wcale sprawy z tego, jaką rolę odegrał w powstaniu; na emigracji popowstaniowej prawie wcale o Traugucie nie mówiono i nie pisamo, choć mówiono i pisano o wielu ludziach powstania, nawet ludziach dalekiego rzędu; dziesiątki lat minęły, nim historia w swym rozdziale o powstaniu styczniowym wyznaczyła mu miejsce właściwe, to jest czołowe, a oto niedawno jego to imię przede wszystkim stało się natchnieniem walczącej Warszawy. Był to pozagrobowy triumf ducha Traugutta.

Oto miara najczystszej ofiary dla ojczyzny, ofiary, której tak bardzo obce było pragnienie rozgłosu.

SCALENIE AKCJI POWSTAŃCZEJ I UWŁASZCZENIE CHŁOPÓW

W okresie swej Dyktatury Traugutt wytknął sobie dwa cele: scalenie akcji rozproszonych, drobnych oddziałów powstańczych i pozyskanie chłopa polskiego dla powstania dzięki reformie rolnej, która w tych czasach polegała na uwłaszczeniu. Scalenie akcji powstańczej zostało przeprowadzone, jeśli nie na całym obszarze, objętym dotąd walką, to w każdym razie w znacznej jego części, gdzie powstały korpusy — /jeszcze jedno podobieństwo, tym razem raczej zewnętrzne, między czasami Traugutta a przemianą, przez jaką przechodziła akcja w Kraju w czasach ostatnich/. Reformę włościańską, zaczętą w poprzednich okresach Rządu Narodowego, doprowadził Traugutt do końca, dzięki swym zdolnościom organizacyjnym, energii i bezwzględności wobec nielicznych zresztą jednostek, opieszałych w wykonaniu zarządzeń władz powstańczych. I walkę o duszę polskiego chłopa wygrał.

Wygrał ją w dwu płaszczyznach — płaszczyźnie narodowej, bo napływ chłopów do powstańczych szeregów stawał się coraz bardziej masowy, i w płaszczyźnie społecznej, bo rząd carski, licząc się z faktami dokonanymi przez powstanie, poczuł się zmuszony do ogłoszenia ustawy o uwłaszczeniu, więc w następstwie sytuacja materialna chłopów polskich po r. 1864 polepszyła się w zestawieniu ze stanem rzeczy z przed r. 1863.

MŁODOCIANY BOHATER WARSTWY ROBOTNICZEJ — STEFAN OKRZEJA

Pisząc o różnicach temperamentu, miałem głównie na myśli Traugutta z jednej strony, z drugiej zaś — Stefana Okrzeję, członka organizacji bojowej niepodległościowo-socjalistycznej z r. 1905, zapaleńca i entuzjastę, którego duszę trawiła gorączkowa żądza czynu. Rewolucjonizm Okrzei był gorejącym w sercu płomieniem najszlachetniejszego buntu przeciw wielkiej krzywdzie, nade wszystko przeciw krzywdzie narodu polskiego i cierpiącego wraz z nim, a upośledzonego społecznie robotnika.

Należał Okrzeja do tej grupy działaczy, których celem była Polska — na przekór zakusom wroga i na przekór rodzimym kalkulacjom — całkowicie niepodległa, zjednoczona, społecznie sprawiedliwa.

Ten młody robotnik miał nienasycone pragnienie wiedzy. Po pracy w warsztacie w chwilach wolnych od akcji polityczno-bojowej, wieczorami, a często nocami czytywał. Czytał wiele, pragnąc rozszerzyć myślowe horyzonty.

Padł od kuli carskiej w wieku lat 21, na placu Grzybowskim w czasie manifestacji zbrojnej przeciw poborowi do wojska zaborczego.

MACIEJ RATAJ — SYMBOL NASZEGO POKOLENIA

Maciej Rataj, należał do wybitnych w Polsce ludzi, którzy swą rolę spełnili w okresie dwudziestolecia naszej niepodległości.

Tym z pośród nas, którzy go widywali, pozostanie na zawsze w pamięci sylwetka tego z chłopów wywodzącego się męża stanu: piękna, męska postawa, rasowa twarz i charakterystyczne ruchy — gest każdy pełen był czarującej wymowy, gest każdy, najbardziej choćby nieuchwytny, zdradzał kulturę głęboką.

Był Rataj marszałkiem Sejmu, w przełomowych dniach r. 1926 zastępczo pełnił funkcję Prezydenta Rzeczypospolitej. Nie te jednak fakty są tytułem najważniejszym wielkości jego imienia. Tytułem tym stała się jego praca konspiracyjna w okupowanej Warszawie, praca, którą przypłacił życiem, rozstrzelany na skutek wyroku sądu niemieckiego.

Wśród nazwisk konspiracyjnej Warszawy okresu powrześniowego dało by się znaleść wiele innych, należących do ludzi równych Ratajowi zasługą i poświęceniem. Najbardziej wymowne jest nazwisko bohaterskiego prezydenta stolicy, Stefana Starzyńskiego. Dlaczego więc, gdy szukano symbolu wśród czołowych ludzi Warszawy, wybór padł właśnie na Rataja? Dlatego chyba — tak trzeba przypuszczać — że Rataj, należąc do walczącej Warszawy, należał zarazem do warstwy chłopskiej i nazwisko jego było potrzebne do uzupełnienia tego trójsymbolu, ogarniającego w zarysie całość narodu, wszystkie jego najważniejsze warstwy.

DWA ŁAŃCUCHY POLSKICH WALK ZBROJNYCH

Gdy się rozmyśla nad dziejami polskich walk zbrojnych, dostrzega się dwa tych dziejów wątki, dwa łańcuchy.

Ogniwami pierwszego z nich są: Grunwald, Kłuszyn, Chocim, Wiedeń — niezliczona ilość bitew Polski przedrozbiorowej, dalej Rzym i Neapol z czasów Dąbrowskiego i Kniaziewicza, Raszyn, Samosierra, Grochów, potem — po długiej przerwie walki Legionów lat 1914/15, Rokitna i Ulina Mała, Radzymin, wreszcie Monte Cassino i Chambois. Walki wojsk regularnych, wśród których przeważają zwycięstwa. Walki, w których wyraziła się pełnia możliwości żołnierza polskiego, możliwości wspaniałych, o ile jest należycie uzbrojony i działa w ramach akcji planowej.

I łańcuch drugi, który zaczyna się od walk ulicznych Warszawy i Wilna za czasów Kościuszki, prowadzi przez walki leśne i uliczne lat 1863/64, Małogoszcz i Żyrzyn, walki robotników polskich Warszawy i Zagłębia Dąbrowskiego w latach 1905/1906, P.O.W. r. 1917 i 1918, a kończy się na walkach Wilna, Lwowa i Warszawy r. 1944. Obejmuje ten szereg bitwy, stoczone przez żołnierza, który wyszedł z mroków konspiracji, najczęściej źle uzbrojonego, w najlepszym razie uzbrojonego niedostatecznie. Wśród bitew, należących do tego rzędu, przeważały przegrane. Wartość jednak ofiary żołnierzy tych walk jest większa jeszcze, niż wartość ofiary żołnierza regularnego.

W okresie naszych dziejów, poprzedzających r. 1918, walka konspiracyjna była jedyną drogą, prowadzącą do wolności. Ona to przygotowała grunt, na którym stał się możliwy czyn orężny lat następnych, podejmowany w warunkach pomyślniejszych, a dający rezultaty lepsze, obfitujący często w barwne efekty. Blask czynu żołnierza polskich wojsk regularnych — blask Radzymina z r. 1920, Kutna i Gródka Jagiellońskiego, Monte Cassino i Ancony, Chambois i Arnhem — blask ten nie byłby zapewne tak olśniewający, gdyby go nie poprzedziły walki partyzanckie Kościuszki, Traugutta, Piłsudskiego z okresu przed wojną światową, walki Montwiłła-Mireckiego. Tamte bowiem walki przyczyniły się do przechowania w narodzie naszym woli niepodległości, a w dalszych swych następstwach — do utworzenia państwa polskiego i stworzenia w r. 1918 regularnej Armii Polskiej.

ŻOŁNIERZ WARSZAWY 1944 R. — NATCHNIENIEM SIŁ ZBROJNYCH NA OBCZYŹNIE

Żołnierz, należący do Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, wie niewątpliwie ile zawdzięcza żołnierzowi walk konspiracyjnych pokoleń poprzednich, żołnierzowi Kościuszki, Mierosławskiego, Traugutta. Silne są niewątpliwe węzły, które go z tamtym żołnierzem łączą. A silniejsze jeszcze są te, które go łączą z żołnierzem, który wyszedł z mroków konspiracji, bliskiej nam w czasie — z żołnierzem Warszawy r. 1944. I zawsze będzie żołnierz polski, przebywający dziś na obczyźnie, wracać myślą ku tamtemu z Warszawy. W dniach walk, które go jeszcze czekają i w czasach radosnych budowania zrębów nowej Polski, tego budowania, które nas czeka i ku któremu prężą się nasze ramiona.

Wracać trzeba będzie zawsze myślą ku żołnierzom Warszawy z sierpnia i września 1944 r., ku wszystkim ich sprawom: ulicom i placom, które zdobywali, barykadom i gniazdom oporu, broni, którą walczyli, ich upojeniom tryumfem w dniach szczęśliwych i bezmiarowi zawiedzionych nadziei w dniach ponurych, ku ich hasłom i sztandarom, a także ku nazwiskom, na tych sztandarach wypisanym:

Traugutta — Okrzei — Rataja.

JÓZEF ŻMIGRODZKI

PACIERZ WARSZAWY

Czemu o Tobie pisać mi każą w godzinę ciemną,
Kiedy anioła pocieszyciela nie ma nad mną.
W taką godzinę, że nawet młodość — matka zapomnień
Twarz odwróciła, bo nie potrafi przemówić do mnie.

Lecz może trzeba otworzyć okno do tamtej sprawy,
W ulicę grozy, chwały i męki popatrzeć z bliska,
By, jak pacierza, nauczyć dzieci Twego nazwiska:
Klęknijcie chłopcy. Będziemy mówić pacierz Warszawy.

W imię Wolności, w obronie Szczęścia swego i wszystkich,
Za wiarę w Jutro, że mu na imię Miłość i Prawość.
Z imieniem Ojca, Syna i Ducha; pierwsze pociski
Zraniły miasto. I zakrwawiłaś łuną Warszawo.

Nie płaczcie dzieci. Módlmy się dalej, późna już pora
I mgła wieczorna otula miasto na ziemi obcej.
Tam lud warszawski wrześniową szablę z bruku wyorał
I oszalało miasto wolnością. Słyszycie chłopcy!

Może tam nagle maki zakwitły i białe róże,
Pęki róż białych, otwarte usta i pieśń jak burza;
Że już nareszcie, że wyczekiwać nie można dłużej,
Że wstaje miasto w czerwonych makach i białych różach.

A potem była krew, żar i ołów, niemiecki ołów
I kurz gryzący i gruz i jęki głuche szrapneli . . .
Wyczekiwano, wypatrywano lotu aniołów,
Lecz niebo stało puste i ciemne. — Nie przylecieli.

Módlmy się chłopcy, za tych co czekać muszą bez wieści,
Krwawą leniwość anielskich skrzydeł Sąd Boży zbada.
Runął Król Zygmunt, nawy Katedry ogień zbeszcześcił
I ciała matek waszych ostygły na barykadach.

A potem było chleba zamało i słabli z głodu;
Ciężki karabin wypadał z dłoni — przeklęte dłonie . . .
A potem były groby pod darnią miejskich ogrodów
I trupy domów i trupy ulic. Potem był koniec.

Więc pamiętajcie: Warszawy nie ma! Odeszła w gwiazdy,
W imię Wolności, w obronie Szczęścia odeszła. AMEN.
Nikt nie uwolni. Nie wstrząsną brukiem nowe najazdy.
Do miasta-ducha kluczem wieczności zamknięto bramę.

Noc nad Londynem czarny aksamit nieba rozpina,
Spadają w przepaść codzienne sprawy, przelotne sprawy . . .
Klęknijcie chłopcy. Z imieniem Ojca, Ducha i Syna.
Na ziemi obcej. Będziemy mówić PACIERZ WARSZAWY.

JAN ROSTWOROWSKI

A — jak ciocia Andzia

Wszelkie przedruki, nawet częściowe, bez porozumienia z autorem wzbronione.

I.

Śmierć generała Sikorskiego rzuciła ponury cień na Dywizjon. Byliśmy na pogrzebie w Newark oddać mu ostatnie honory wojskowe i wróciliśmy stamtąd w jak najgorszym nastroju. Wszyscy mają złe przeczucia, wszyscy są przygnębieni, wszyscy poddają się czarnym myślom, choć może nie każdy z nas uświadamia sobie, jakim ciosem dla Polski była ta śmierć w obecnej sytuacji politycznej.

W mess'ie pod oknem powstał "kąt smutniaków". Przesiadują tam niektórzy, godzinami nie zamieniając słowa. Nie słuchają radia, nie czytują gazet, nie interesują się niczym. Jedynym ich zajęciem jest kładzenie pasjansów.

Nie można powiedzieć, żeby nasza załoga kontrastowała z tym tłem. Wraz z Zygmuntem i Kozą kończymy drugą turę lotów bojowych. Koza ma jasny plan: odpocznie ze trzy miesiące, napisze przez ten czas ze dwa tuziny sonetów /których znów nikt nie zechce wydrukować/ i wróci do dywizjonu — latać dalej. Ale Koza ma lat dwadzieścia osiem, a Zygmunt do spółki ze mną — osiemdziesiąt sześć . . . /Od biedy starczyło by na całą załogę/. Nie ma się co łudzić: nie będziemy latali w trzeciej turze!

Zygmunt udaje "realistę" i z uporem twierdzi, że jako bohater, weteran, tudzież as — chętnie zasiądzie za jakimś stołem, obszerniejszym, niż stolik nawigatora, i będzie spoczywał na laurach, wypełniając rubryki kart ewidencyjnych.

—Dosyć — powiada — tej wojny! I — powiada — nie udawaj, Herbert, że ci to nie dogadza. Kogo — powiada — będziesz bujał? Mnie?!

Potem oddaje się marzeniom o tym, co nas czeka:

—Dowództwo, rozumiesz; Londyn, rozumiesz; "Rubens", rozumiesz . . . Bufet, cholera, jak przed wojną — — a moje dzieci w Warszawie dzień w dzień przemarzłe kartofle i kapustę jedzą . . . Żeby chociaż dzień w dzień! A może co drugi, albo co trzeci? . . . A może wcale, bo . . . E, z tobą nie można gadać!

Milczymy obaj przez chwilę, a potem Zygmunt wraca do swych marzeń:

—Mieszkanie sobie wynajmiemy niezgorsze, bo dodatek londyński dadzą; ciepło, miękko, wygodnie, kominek rozumiesz, i — cóż? Do biura sobie pójdziesz, potem lunch, potem kawka, i o piątej jesteś wolnym człowiekiem. Kino, ma się rozumieć, jakiś brydżyk, klub, coś tego i tak dalej. Nie narażasz się, odpoczywasz, czekasz końca wojny i tylko z gazet wiesz, co się dzieje. Naturalnie zła krew cię zalewa na to wszystko, bo nie masz wiele do roboty i ciągle jesteś myślami tam, w Polsce . . . Gryziesz się, gorzkniejesz; najpierw ogarnia cię rozpacz, a później pesymizm, ale — co możesz zrobić? Cały twój wysiłek, to ta z . . . ewidencja, psiakrew! A niech to wszyscy diabli! . . .

—Nie martw się — usiłowałem go pocieszyć. — Jeszcze nam do końca brak kilku lotów: może cię ustrzelą i będzie po kłopocie.

Ale Zygmunt wzrusza ramionami na tego rodzaju pociechy.

Tymczasem nad Anglią drzemie wyjątkowo upalne, pogodne lato, a noce są jasne, srebrne i rozedrgane od warkotu silników lotniczych. To n a s z e silniki; prawie wyłącznie nasze: brytyjskie, amerykańskie, polskie . . . Niemcy pojawiają się coraz rzadziej nad tą wyspą: szale wojny z pewnością już przechylają się na naszą stronę. Może wkrótce będzie koniec?

Od pewnego czasu nasz dywizjon zajmuje się akcją kulturalno-oświatową: każdy "Wellington" oprócz bomb zabiera pewną ilość słowa drukowanego, które ma oświecić Niemców. Zygmunta to irytuje:

—Po cholerę?! I tak głupie złoby nie zrozumieją, co im się tu mądrego pisze, a tylko kłopot z wyrzucaniem.

Ale rozkaz jest rozkazem, a połączenie ulotek z bombami — to w każdym razie lepsze, niż same ulotki w 1939-ym . . .

Jednym z takich lotów "oświatowych" była wyprawa na Karlsruhe. Dzięki wspaniale zorganizowanej na terenie dywizjonu poczcie pantoflowej, już o jedenastej przed południem wiedzieliśmy, że będzie "wojna" i to "wysoka", bo ładunek miały stanowić bomby kruszące i zapalające, nie zaś — miny. Wysłaliśmy tedy Lejbę do meteorologów, żeby się dowiedział, co oni o tym myślą. Łapiwiatry zapatrywali się na pogodę sceptycznie: ustalili, że nadciąga jakiś tam front i tworzy się niż; mówili o inwersjach, chmurach pierzastych, okluzjach i innych niezrozumiałych sprawach, z których według nich niezbicie wynikało: s k a s u j ą l o t!

Tymczasem o dwunastej — zapowiedź: *"stand-by"* . . .[1]

Zygmunt, który na podstawie wywiadu Lejby wybierał się do Lincoln, zdejmuje nowy mundur i przebiera się powtórnie, klnąc meteorologię, po czym — ponieważ właśnie otwierają bar — idziemy z Lejbą na piwo.

O dwunastej trzydzieści — odwołanie pogotowia. Łapiwiatry tryumfują. Ale autobus do Lincoln właśnie odszedł . . . Zygmunt eksploduje wewnętrznie i stara się ugasić pożar gniewu przy pomocy większej ilości piwa. Co młodsi koledzy, ze Sweet Franiem na czele, wymykają się do sekcji, w których pracują WAAF-ki — na inne, mniej bojowe działania.

Lunch mija spokojnie. O szesnastej odchodzi następny autobus, więc Zygmunt ryzykuje i przebiera się po raz trzeci. Ale o piętnastej trzydzieści megafony ryczą:

—Wszystkie załogi operacyjne zgłoszą się do *crew-room'u*![2]

Uciekłem na sam widok twarzy naszego nawigatora: była fioletowej barwy.

Popołudnie spędzamy w messie, bo ciągle jest *"stand-by"*. Zygmunt, mimo to, nie przebiera się: i tak pójdziemy spać . . .

—Meteorologia to wspaniała rzecz — powiada. — Tylko skończone osły mogą o tym powątpiewać.

WAAF-ki mają jakiś wykład, czy odprawę, więc Sweet Franio i jego świta rozmawiają "inteligentnie" dokoła odbiornika radiowego, który akompaniuje im równie inteligentnym, utrzymanym "na wysokim poziomie" programem *For the Forces*.[3] Najpierw toczy się dyskusja o klęsce Niemców pod El Alamein /głośnik ryczy jakieś idiotyczne kuplety, które z pewnością wygwizdano by w Rzeszowie lub Wołominie/. Potem rozmowa przechodzi na Egipt, potem — na kobiety w Egipcie, wreszcie — na kobiety w ogóle — temat nigdy nie wyczerpany . . . /Głośnik wtóruje rzewną piosenką pod tytułem *"My sister and I"*, za którą autor wart jest paru miesięcy kryminału; ale piosenka wzbudza w sali, z której ją transmitują, huragan braw/.

[1] *Stand-by* — pogotowie.
[2] *Crew-room* — sala odpraw przed lotem.
[3] Dla wojska.

—Ładna piosenka — stwierdza Franio, któremu wszystko co angielskie, bardzo się podoba. — Ta mała Betty, wiecie, ta blondyneczka z *"Black and White"*[1], ma wcale niezły głos.

—*Smiert'kucharkam* — mówi Zygmunt z westchnieniem, po rosyjsku.

—Co to znaczy? — pyta naiwnie Franio.

—Śmierć kucharkom! — tłumaczy Zygmunt. — Śmierć z miłości, Franiu . . . Zdobywasz, zdobyłeś czy porzuciłeś?

—Bardzo cię proszę, Betty nie jest kucharką! — zaperza się Franio.

—Zdobywa — konstatuje flegmatycznie Lejba. — Skoro tak się stawia, to dopiero zdobywa.

W tej chwili megafony obwieszczają: — POGOTOWIE ODWOŁANE!

To zapobiega dalszej wymianie poglądów na temat przewag miłosnych Frania i na sprawę przynależności jego ofiar do tej czy innej klasy społecznej. Natomiast opinia o bazie, grupie bombowej i innych, wyższych instancjach strategicznych jest wyjątkowo zgodna. Smutniaki pod oknem tasują karty do następnego pasjansa; Franio i jego kompania czekają, kiedy wreszcie WAAF-ki skończą się kształcić w wiedzy wojskowej; Lejba zamawia siódme piwko; Zygmunt ziewa i przegląda się w lustrze /nowy mundur . . ./; jednym słowem: miła, pogodna atmosfera — jak w rodzinnym grobie . . .

Nie wiem, co pokrzyżowało wyroki meteorologów tego wieczora. Może to był "Mosquito", który wylądował na naszym lotnisku, i którego załoga oświadczyła, że szczyty chmur sięgają piętnastu, nie zaś dwudziestu pięciu tysięcy stóp. Dość, że Zygmunt o godzinie 9.30 przebierał się po raz czwarty tego dnia, zgrzytając zębami /głównie przednimi, bo po bokach ma złote, więc szkoda/, i wyrażając się o meteorologii w sposób więcej niż lekceważący. Przebierał się, ponieważ ogłoszono znów *"stand-by"*, po czym wezwano nas na odprawę i wyznaczono start na dwudziestą trzecią . . .

* * *

Chmury szły gęste, ubite, kopiaste. Ciemność osiadła szybko, a po starcie bynajmniej się nie rozwidniło, bo lecieliśmy w tych chmurach, zamknięci, jak muchy w pudle od kapelusza.

W maszynie panuje milczenie; nawet Pryszczyk nie ma nic do powiedzenia, a Koza zdaje się drzemać przy swojej stacji radiowej. Tylko Zygmunt coś pomrukuje niezrozumiale, kończąc swoje wyliczenia, których nie zdążył zrobić przed startem.

Na wysokości czternastu tysięcy wychodzimy wreszcie z chmur i księżyc w pełni zalewa światłem wnętrze gondoli. Niemal w tej samej chwili obsypuje nas pierwsza seria ognia artylerii, budząc westchnienie ulgi naszego nawigatora:

[1] Czarne i białe.

—Zgadza się — mówi ten typ ze szczerym zadowoleniem. — Zgadza się co do sekundy: włazimy nad Belgię!

—Jeżeli nie masz innych sprawdzianów nawigacyjnych, niż niemiecka obrona przeciwlotnicza, to niech cię diabli wezmą razem z twoimi obliczeniami — irytuje się Lejba, ponieważ seria bębni nam po skrzydłach.

Ale Zygmunt pomija milczeniem tę uwagę: dla niego najważniejsze jest to, że idziemy po kursie. Teraz przed nami wzdyma się nowa barykada wyższych jeszcze obłoków. — Omijać, czy pchać się w ten gąszcz? . . .

"Lucy" ciągnie dobrze, więc decydujemy się na to drugie. Wysokość wzrasta. Pod maszyną kłębią się czarne chmurzyska, od których idą nierówne, zdradliwe podmuchy. Raz po raz zapadamy w odmęt napuchłych, obrzmiałych bąbli, które ciśnienie wypycha na powierzchnię burzy idącej nad Belgią. Jesteśmy jednak już tak wysoko, że nic nam ta burza nie zrobi; owszem — prądy wstępujące dźwigają nas tylko w górę, dopomagając silnikom.

Gdy według obliczeń Zygmunta minęliśmy Mosellę, warstwa chmur stała się cieńsza, a jej górna powierzchnia zaczęła się obniżać. Lecieliśmy ponad nią aż do Renu. Księżyc świecił jasno i jego blask wsiąkał w obłoki, przesycając je matowym, łagodnym srebrem. Ale dalej na południowym wschodzie rozlewało się czerwone półkole łuny, coraz większe, o coraz żywszej barwie: to płonęło Karlsruhe . . .

Wkrótce weszliśmy w zasięg tej łuny. Lejba melduje, że chmury się kończą i że widać pożary. Dodaję gazu, żeby jak najprędzej przelecieć przez ciężkie zapory ognia artyleryjskiego i przez snopy reflektorów.

Udało się. Idziemy kursem bojowym nad środek celu. Drzwi bombowe otwarte i Zygmunt naprowadza:

—*Left . . . left! . . . Steady . . . Left . . . Steady* —[1]

A po chwili napięcia:

—*Bombs gone!*[2]

—Anglik z Kołomyi — powiada Lejba.

—Wcale nie z Kołomyi, tylko z Woli — prostuje Zygmunt. — A wiesz Lejbuś, gdzie Wola? W Warszawie!

—No to co z tego? — pyta Lejba.

—To, że po drodze od nas do Kołomyi jest Kraków . . .

—Ładnie po drodze! A zresztą, co to ma wspólnego z . . .

[1] *Left* — na lewo; *steady* — równo.
[2] Bomby poszły.

—Unik w prawo ma-arsz!! — wrzeszczy Koza.

Machinalnie robię gwałtowny unik. Cyrkle i mapy, jak karni żołnierze, maszerują na rozkaz Kozy po stoliku nawigacyjnym i po całej kabinie; Zygmunta podnosi w górę i rozpłaszcza na pokładzie; na lewo od nas przelatuje cały rój pocisków . . . Ktoś klnie soczyście niemiecką artylerię, która omal nas nie wykończyła.

Ubożsi o kilka ołówków i kątomierz, wracamy na kurs i odchodzimy już z nad celu, gdy uwagę naszą zwraca następna seria, jeszcze dalej w lewo od nas. Ktoś się tam pęta w stożku reflektorów . . . Widać go! Jakiś "Wellington" wije się w rozpaczliwych unikach, a reflektory zastawiają coraz gęstsze sieci przed nim i za nim. Kilkanaście krzyżuje się w punkcie, gdzie nieszczęsna maszyna szaleje w skrętach. Stożek — jak przylepiony do błyszczących skrzydeł — przysiada, prostuje się, skłania się na boki ze straszliwym wdziękiem chińskiego tancerza. Kiwa się całą postacią złożoną z elastycznych linii, rozkraczonych szeroko na ziemi; kołysze się, jak szyja potwornego węża, który hypnotyzuje zdobycz wahadłowym ruchem wysoko wzniesionej głowy . . . Ofiara jednak nie poddaje się hypnozie: wymyka się raz po raz, w ostatnim ułamku sekundy spływa trawersem z toru pocisków, ucieka w panice, kierowana zapewne bardziej instynktem pilota, niż komendą strzelców. Zdaje się, że już — już ją zestrzelą, gdy wreszcie wychodzi z zasięgu baterii.

Wszyscy oddychamy z ulgą. Skręcam w prawo i pytam Zygmunta o kurs, jakim mamy stąd odejść, gdy Lejba przypomina, że nie wyrzuciliśmy ulotek . . .

—Prawda! Ulotki! . . .

To Koza przegapił. No — trudno: okrążam płonące miasto i wchodzimy znowu na szlak przybywających samolotów, które tłoczą się nad celem, po dwa, po trzy na raz, obok siebie, wyżej i niżej. Karlsruhe błyska salwami dział i wybuchami bomb. Widać całe jeziora i szeroko rozlewające się rzeki płomieni.

—Gdyby Neron zmartwychwstał, nie paliłby Rzymu, tylko Karlsruhe — mówi patetycznie Koza.

Pryszczyk potakuje:

—Faktycznie . . . — i po chwili dodaje: — Cały ten twój klozetpapier się spali. O — prosto w ogień go niesie . . .

Ulotki połyskują różowo w blasku pożarów, lub srebrzą się w świetle reflektorów, które gorączkowo biegają to tu, to tam, jakby przerażone tą nawałą bomb, wybuchających na ziemi.

Pod nami, zaledwie o jakie 50 stóp niżej, leci jakiś "Wellington"-samobójca w kierunku odwrotnym do nakazanego kursu bojowego. Rozpoznajemy znaki naszego dywizjonu i literę — "A".

—A — jak ciocia Andzia — mówi Lejba. — Czyja to maszyna?

Nikt z nas nie wie: teraz co parę dni załogi się zmieniają. Zygmunt potrząsa głową z politowaniem:

—Pewnie jakiś "freszer". Nalatuje powtórnie po linii celu, zamiast ją okrążyć. Przez takich idiotów są te wszystkie zderzenia. Tuman, psiakrew!

Znów przechodzimy przez zaporę ogniową — parę uników — i już bezpiecznie. Ustalam kurs powrotny na żyro. Zgadza się z busolą. Lecimy nisko, więc dodaję gazu, żeby nie wracać w chmurach. Ale zapas benzyny nie jest wcale za duży. Trzeba lecieć ekonomicznie.

Wtem Lejba i Pryszczyk meldują prawie jednocześnie:

—Nad nami "Wellington". Ma jeden silnik nieruchomy i zostawia za sobą smugę dymu na niebie.

—To chyba będzie ciocia Andzia — mówi Zygmunt.

Wyprzedzamy ją. Czy dociągnie? . . . Może: nie traci wysokości, wolno, lecz pewnie leci w strumieniu powracających maszyn. Jeżeli ma całe zbiorniki, jeżeli się nie zapali, jeżeli załoga wytrzyma nerwowo, jeżeli nie spotka myśliwca niemieckiego — może dociągnie . . .

PORUCZNIK HERBERT

Rozmowa samolotu z ziemią *fot. Jan Bielec*



Wyzwoleni z niemieckiego munduru

Jak rozstałem się z wrażą służbą

Na zielonej murawie rozległego placu obozowego rozsiadła się dość liczna gromadka młodych chłopców, niejednokrotnie wprost jeszcze o dziecinnym wyglądzie twarzy. Pytania sypią się zewsząd jak z rogu obfitości, że odpowiedzieć na nie jest niemal fizyczną niemożliwością. A pytania te nie są bynajmniej banalne, ot zadane dlatego, aby coś powiedzieć. Pytania dotyczą spraw istotnych, o których dowiedzieć się czegoś podczas całego okresu okupacji i pobytu w szeregach armii niemieckiej było dla nich niemożliwością. Jeżeli czasami któremuś z nich udało się posłuchać audycji polskiej radia londyńskiego z narażeniem się na duże kary, to przecież taka jednorazowa audycja nie mogła im dać pełnego obrazu spraw i zagadnień najbardziej ich interesujących.

—A teraz z kolei niech który z was opowie mi coś o sobie. Ot, na przykład, jak dostaliście się do niewoli? — zadałem z kolei pytanie. Pytanie to zadałem nie tylko dlatego, aby się czegoś ciekawego od nich dowiedzieć, ale i jednocześnie, aby móc chociaż trochę wypocząć, gdyż udzielanie możliwie wyczerpujących odpowiedzi na pytania solidnie mnie wymęczyło.

—Felek Kubicki niech opowie — rozległy się liczne głosy. — Ten ma najwięcej do powiedzenia . . .

Zachęcany przez kolegów nie tylko słowem, ale czynem znalazł się obok mnie młody chłopaczyna o jasnych jak len włosach.

—A ileż to kolega lat sobie liczy? — zapytałem go z miejsca, gdyż z wyglądu mógł liczyć najwyżej lat 16 — 17.

—W lutym skończyłem 19 — odpowiedział wstydliwie, rumieniąc się, jak panna.

—Oho, to już z kolegi prawie dorosły mężczyzna . . . No, a jak to było z tą niewolą?

Zarumienił się jeszcze więcej i po prostu słowa nie można było z niego wydobyć. Aby wytworzyć możliwie przyjazną i niewymuszoną atmosferę poczęstowałem go papierosem, co jednak przez całe otoczenie przyjęte zostało głośnym śmiechem i żarty pod adresem delikwenta posypały się jak z rogu obfitości. Okazało się, że jeszcze nie pali . . . Mimowoli krok mój okazał się bardzo niefortunny . . . Nie dałem jednak za wygraną i postanowiłem wydobyć z niego szczegóły jego rozstania się z armią niemiecką.

—Ależ, to nic ciekawego — jąkał się chłopak. — . . . Było to pod St. Lo . . . Byłem celowniczym przy cekaemie. Stanowisko moje znajdowało się na skraju szosy, do której równolegle w odległości około 100 metrów biegł tor kolejowy. W pewnej chwili na torze pokazał się patrol amerykański w sile kilku ludzi. Mogłem otworzyć do nich bardzo skuteczny ogień, gdyż nie kryli się wcale. Jakże mogłem strzelać . . . Już przecież dawno postanowiłem sobie, że przy najbliższej nadarzającej się okazji dam drapaka do Aliantów. Słyszałem przecież przez radio wezwanie naszego rządu, skierowane do nas. Musiałem się szybko decydować, gdyż dwu Niemców, amunicyjnych, akurat w tej chwili nie było koło mnie — poszli do schronu po zapasowe skrzynki. Nie namyślając się wiele, schwyciłem za karabin, przeniosłem na drugą stronę szosy, skierowałem go na stanowiska niemieckie i błyskawicznie otworzyłem ogień . . .

Chłopak rozgorączkowany opowiadaniem i wspomnieniami mówił coraz żywiej, coraz barwniej.

— . . . Trudno sobie wyobrazić, jakie wśród Szwabów powstało zamieszanie. Nie mogli się zorientować, co się właściwie stało. Obejrzałem się poza siebie na tor kolejowy. Patrol amerykański przypadł do ziemi i trwał w bezruchu. Wyczułem, że byli zaskoczeni. Strzelałem dalej bez przerwy. Po chwili patrol amerykański zaczął zbliżać się i po kilku minutach byli przy mnie. Strzelałem bez przerwy. Chciałem im wytłumaczyć, że jestem Polakiem, ale jakoś mi to nie szło . . . "A możeś ty Polak?" — zapytał mnie jeden z nich po polsku. "Tak, tak, jestem Polak" — wołałem uradowany . . .

—Odetchnąłem z ulgą . . . Byłem już pewien, że ze strony Niemców nic mi nie grozi. Rozstałem się z nimi i pożegnałem dobrze i to nawet bardzo dobrze. Grupki Niemców zaskoczone zupełnie niespodziewanym ogniem w popłochu opuszczały swoje stanowiska, wycofując się w kierunku odległego o kilkaset metrów lasu. Tylko jedno gniazdo nie straciło głowy i zaczęło gęsto odpowiadać na mój ogień z dwu karabinów maszynowych. Zacząłem namawiać Amerykanów, aby ich zlikwidować. Ponieważ znałem dobrze teren, zaproponowałem, że ich poprowadzę zupełnie bezpieczną drogą. Amerykanin-Polak wyjaśnił reszcie o co chodzi. Zastanawiali się chwilę — widać było, że nie bardzo byli mnie pewni. Bali się jakiejś zasadzki czy podstępu. Amerykanin-Polak przekonał ich jednak i zaczęliśmy się przygotowywać do natarcia. Abym z wyglądu chociaż trochę był do nich podobny, jeden z Amerykanów oddał mi swój hełm. Nasza akcja trwała bardzo krótko. Obeszliśmy gniazdo niemieckie od tyłu, oddaliśmy krótką serię i wezwaliśmy ich do poddania się. W kilka minut później siedmiu szwabów maszerowało do niewoli, raz wraz ze zdumieniem spoglądając na mnie . . .

— . . . To chyba już wszystko . . . Reszta to już mniej ciekawa . . .

STANISŁAW BŁASZCZAK

Byłem na Linii Siegfrieda

Uśmiechnięta trójka śląskich "Karlików" stanęła na baczność. Strzelili z kopyta, aż się iskry posypały i dalejże opowiadać:

—Mnie wzięli z chałupy w sierpniu w zeszłym roku . . .

—A mnie w marcu — dorzucił drugi . . .

—Ja dopiero w tym roku zostałem zmobilizowany — odparł trzeci.

—Gdzie przebywaliście w Niemczech?

—W Aachen! Właśnie w tym samym miejscu, gdzie dzisiaj grzeją Amerykanie. Trzy miesiące stałem tamoj . . .

—Więc znacie Akwizgran?

—Jeszcze i jak — odpowiada młody "Pierunek." —Tam to było piekło! W zeszłym roku, 17 lipca, jak zaczęli rąbać Alianci, to samych zabitych było 1350 . . . Popłoch był taki, jak w dniu inwazji. Dwa tygodnie tylko się paliło . . .

—Co wtedy Niemcy mówili?

—Ano nic. Co mieli gadać, jak im dym pyski pozatykał. Do reszty zgłupieli. Nawet żandarmi posmutnieli. Prowadzili się za ręce jak dzieci, bo dym im gryzł pyski i ślepia. Na nasze koszary też rypnęli kilka bomb, ale w same stajnie. Później cały nasz pułk wysłali do ratowania miasta . . .

—Ja byłem wtedy w Echwailer. 18 kilometrów od Akwizgranu — przerwał drugi Ślązak — i też nas tam szurnęli. Jeden z lotników to pewnie się pomylił, bo zamiast w Akwizgran, to rypnął w Echwailer. Rzucił "*luftminę*" na środek miasta. Całe miasteczko to tylko przewróciło się jak kopica od wiatru — pieruna! . . . Musieliśmy wywozić zabitych. Wiozło się ich do sąsiednich wiosek i tam się grzebało, ażeby nie robić zamieszania w mieście.

—Czy kwaterowaliście na linii Zygfryda?

—Nie. Tam nie było co robić. Chodziliśmy tam tylko na ćwiczenia. Wtedy "*blockhousy*" były zamknięte na kłódki. Myśmy i tak wiedzieli, że tam nic nie ma. Mówili nam, że działa dawno już wywieźli pod Stalingrad i Leningrad i na fortyfikację Atlantyku. Były tam tylko założone pola minowe i ciągły się betonowe kozły. Stały też warty. Były chyba po to, żeby krowy nie wyleciały na minach. Ale bunkrów to była cała moc. Co pięć metrów stał taki . . . Ale to tylko na południe od Aachen. Na północ, to już pewnie Niemcy nie mieli pieniędzy, bo budowali je co 50 metrów . . . Dzisiaj to rozumiemy, dlaczego Alianci rąbnęli w linię Zygfryda od północy. Koło Sztolbergu to takich bunkrów stało cosik 150! . .

—A jak taki bunkier wygląda?

—Od przodu, to go nie widać, tylko wystają mu takie "śparecki." Na wierzchu jest zrównany z ziemią. Dopiero w tyle ma kilka metrów wysokości. Taki bunkier, to ma sklepienie od 5-7 metrów. Widzi mi się, że tak dwie bomby, to mu dadzą radę. Najlepszy sposób, to wrzucić granaty przez te "śpary" . . . Szwaby to śpekulentnie urządzili te schrony. Mają podziemne chodniki i wykopane w koło rowy.

—A jakie uzbrojenie ma taki bunkier?

—Różnie. Są takie co mają i 12 dział przeciwpancernych 8,8-cm. i 4 karabiny sprzężone. Może się tam zmieścić kupa luda. Przy każdym dziale jest 6 ludzi obsługi, ale mnie się widzi, że mimo to i tak nie obronią tej linii, nawet gdyby postarali się o kluczyki do kłódek . . . Oni już mają dosyć tej wojny. To już nie ten sam duch, co był dawniej. Każdy szwab myśli tylko o tym, jakby wrócić do chałupy i gdzie by co zjeść . . .

—Ma pan rację. Właśnie w kilku miejscach Amerykanie, przeszli już linię Zygfryda. Armie amerykańskie wprowadziły nową broń przy zdobywaniu bunkrów. Po prostu użyli miotaczy ognia. Płomień wdziera się przez szczeliny, "śpary" i załoga staje w ogniu.

—Ja o tym myślałem. Ich tylko można w ten sposób wykurzyć, albo granatem. Ognia to się oni boją jak zarazy. Dość się już napiekli przy nalotach alianckich. Jak się palił Aachen, to sprowadzili straże pożarne aż z Düsseldorfu, Essen i Kiel. Tylko skąd oni teraz wezmą tych strażaków, jak się wszędzie pali? . . .

ANTONI WASILEWSKI

Historia jedna z wielu

Przeżycia licznych rzesz Polaków, których wróg, tak bezwzględny i okrutny w postępowaniu, brutalną siłą zapędził do swych szeregów, niejednokrotnie są wprost nieprawdopodobne. Nieprawdopodobie — ale dla ludzi obcych, nie znających lub, co się zresztą niestety dość często zdarza, nie dających wiary tym wszystkim nieprawościom, których Niemcy dopuścili się i dopuszczają po dziś dzień na okupowanych ziemiach Polski.

Gdyby na przykład któremuś z Brytyjczyków opowiedzieć historię tego, co przeżył plutonowy K.Z., podoficer zawodowy wojska polskiego, jeżeli nie wszyscy, to z pewnością poważny odsetek spośród nich nie dałby temu wiary. My jednak mamy wszelkie podstawy sądzić, że w opowiadaniach tych ludzi, którzy jeszcze przed kilkoma tygodniami, lub nawet kilkunastu dniami nosili niemieckie mundury, nie ma wcale przesady, nie ma blagi — a jest szczera prawda, prawda bijąca w oczy swoją brutalnością i okrucieństwem, na które skazał ich zły los.

Ludzie ci jeszcze po dziś dzień są pod wrażeniem tego wszystkiego co nie tak dawno jeszcze przeżywali, a zwłaszcza w ostatnich tygodniach swego pobytu na froncie w Normandii i Bretanii, po dziś dzień mają jeszcze w uszach świst i huk rwących się bomb i nawały pocisków artyleryjskich, którymi oddziały niemieckie były wprost zasypywane przez lotnictwo i artylerię Aliantów. Jeszcze dzisiaj nie są zbyt skorzy do zwierzeń, gdyż to co przeżyli jest jeszcze w nich zbyt świeże, zbyt chaotyczne, jeszcze dzisiaj nie mogą zdać sobie sprawy, że wszystko to jest już poza nimi, że już minęło, że już przeszło jak jakiś koszmarny sen . . .

Oto krótka, ale pełna treści historia jednego z nich.

Wybuch wojny polsko-niemieckiej w dniu 1 września 1939 roku zastał plutonowego K.Z. w 9 pułku piechoty w Zamościu. Po dwutygodniowych walkach znalazł się z resztkami swego batalionu w Łucku, gdzie batalion miał otrzymać uzupełnienia. Tam go zastał dzień 17 września. Plutonowy K.Z. zostaje wzięty do niewoli, wywieziony w głąb Rosji i osadzony w jednym z "łagrów". To co tam przeżył nie różni się w niczym od przeżyć setek tysięcy Polaków. Żył z dnia na dzień, licząc jedynie na jakiś cud, który by ich wybawił. I właśnie cudem tym dla tych nieszczęsnych był układ polsko-sowiecki, który setkom tysięcy Polaków otworzył bramy więzień i obozów jeńców.

Wśród tych, którzy odzyskali wolność, znalazł się i plutonowy K.Z. Już na drugi dzień po opuszczeniu "łagru" był znowu podoficerem w jednym z oddziałów polskich formujących się na terenie Rosji Sowieckiej. Oddział jego, nie został wraz z innymi ewakuowany do Persji i w kilka miesięcy później tworzył już część składową armii Berlinga. Z armią tą poszedł na front.

Widocznie los nie był dla niego zbyt łaskawy, gdyż w pierwszej potyczce dostaje się do niewoli niemieckiej. W wyniku przeprowadzonego badania zostaje ujawnione, że pochodzi z Pomorza, z okolic Chojnic. Oświadczają mu wówczas, że jest obywatelem niemieckim i jako taki zostaje zwolniony do domu.

Niedługo jednak cieszył się odzyskaną, zupełnie niespodziewanie, swobodą — w miesiąc później zostaje powołany do służby wojskowej i wcielony do jednej z dywizji piechoty, z którą wkrótce znalazł się na froncie wschodnim po raz drugi, lecz tym razem po przeciwnej stronie. W czasie zażartych walk pod Kurskiem zostaje wzięty do niewoli przez wojska sowieckie.

Badającemu go oficerowi sowieckiemu wyjaśnia, że jest żołnierzem armii generała Berlinga, a ponieważ pochodzi z Pomorza, Niemcy, po wzięciu go do niewoli, wcielili go siłą do swych szeregów. Gdy po sprawdzeniu okazało się to prawdą, plutonowy K.Z. ponownie zasilił szeregi gen. Berlinga, by znowu znaleźć się na froncie, a w kilkanaście dni później stać się po raz drugi niemieckim jeńcem. Szczęście wybitnie mu nie dopisywało . . .

Ponieważ dobrze mu było znane okrutne i nieludzkie obchodzenie się Niemców z jeńcami sowieckimi, postanowił obozu jenieckiego uniknąć za wszelką cenę. Wiedział, że gdy się raz znajdzie w jednym z tych obozów, to tak jakby jedną nogą był już na drugim świecie. Bez chwili namysłu składa oświadczenie, że jest żołnierzem armii niemieckiej i że po wzięciu go do niewoli, jako Polaka, wcielono go przemocą do armii generała Berlinga, skąd przy najbliższej nadarzającej się okazji zdołał zbiec. Niemcy jego wyjaśnienia przyjęli za wystarczające i nieszczęsny plutonowy znowu przywdział mundur niemiecki. Tym razem wysłano go do Normandii, gdzie w kilka miesięcy później dostał się do niewoli wojsk amerykańskich . . .

—Ale teraz, to już chyba koniec moich przygód. Jak na jednego człowieka to wystarczy — zakończył z uśmiechem swoje opowiadanie.

JAN ŚLĄZAK

Znowu wśród swoich



Polscy spadochroniarze w Holandii*

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

PIERWSZY POLSKI DYWIZJON ARTYLERII PPANC. SPADOCHRONOWEJ

Było to tak niedawno, może przed paru miesiącami, a teraz wydaje się, że upłynęły długie lata. Chorowałem wtenczas na *jeepomanię*, ale nie to skłoniło mnie do złożenia wizyty spadochronowym pepancom.

—Pojedź tam, do kapitana Jasia W. — doradzano mi w dowództwie Brygady Spadochronowej. — Nasze pepance to piękny oddział.

Wiedziałem o tym. A że było ładnie i zielone pagórki hrabstwa Northampton pachniały latem — udałem się tam, do malowniczego "*house'u*" nad długim jeziorem, gdzie sobie swobodnie i z pańska kwaterowały pepance.

W kasynie panowała atmosfera jakby wiejskiego dworu. Duże okna, otwarte na oścież, wchłaniały zapach starego angielskiego parku. Stół, przy którym siedzieliśmy, był umajony wielką ilością jarzyn i owoców. Zajadało się smacznie i nie skąpo.

—U nas z zasady nie prowadzi się osobnej kuchni oficerskiej — mówi nie bez dumy dowódca. — Te potrawy są z ogólnego kotła. Dokupujemy tylko "witaminy" i dodatki.

Jest gorąco, więc wszyscy oficerowie i podchorążowie siedzą przy stole bez bluz *battle-dressu*. Wygląda to przyjemnie i — całkiem po wojskowemu. Rozmowa też jest w tym stylu. Wszyscy są z dowódcą niemal po imieniu, a jednak w każdej wesołej i swobodnej pogawędce można wyczuć szacunek dla niego i chętne podporządkowanie się. Większość oficerów — to młodzi, niedawno opierzeni podchorążowie, a kapitan, też jeszcze młody człowiek, jest inżynierem — sama rezerwa.



Wyładowywanie zaopatrzenia

—Dużo nas pracy kosztowało, aby postawić dywizjon na odpowiednim poziomie — opowiada dowódca. — Miałem bardzo różnorodny materiał: z 1. Dywizji we Francji, od Kopańskiego, z Rosji. To wszystko stopiło się teraz w jedną całość. Dywizjon jest gotowy do akcji i w każdej chwili może wystartować. Jesteśmy z tego zadowoleni i dlatego u nas jest zawsze wesoło.

Rozmawiamy o czekającej nas akcji. Wszyscy są ciekawi, dokąd polecimy i w ogóle, jak tam będzie.

W myśl brygadowej organizacji obsługi prasowej, w każdym oddziele wyznaczono reportera — dziejopisa bojowych wyczynów. W pepancach tę czcigodną funkcję otrzymał podporucznik G. Koledzy pokpiwają z niego, a on się martwi, że ma o jeden kłopot więcej.

—To nic — pocieszam go — będzie o czym pisać. Takie "*exciting stories*" /porywające opowiadania/ . . .

O, tak! Nie zabrakło tematów . . .

Ale podporucznik G. prawdopodobnie nic już nie napisze, bo jego "*exciting story*" skończyła się urwanym słowem "*missing*" /zaginiony/.

Brakuje także wielu innych z tamtej beztroskiej rozmowy "*somewhere in England*" /. . . . gdzieś w Anglii/. Bo takie były dzieje pepanców spadochronowych pod Arnhem.

PEPANCE . . . JAKO PIECHOTA

Jak na złość, ten jeden z najbardziej zwartych oddziałów Brygady został rozczłonkowany od samego początku wejścia do akcji. Działa przeciwpancerne z częścią obsług i pocztem dowódcy wylądowały na szybowcach po północnej stronie Leku /północna odnoga Renu/. Sam dowódca z pozostałą częścią dywizjonu — wyskoczyli na spadochronach na południowym brzegu. Według planu — oba rzuty miały się połączyć na miejscu. Ale wiadomo — mało co w Arnhem udało się przeprowadzić zgodnie z planem.

Nie posiadając dział, grupa z dowódcą, kapitanem W., okopała się, jako piechota, wraz z Brygadą w Drielu i wzięła udział w obronie tej miejscowości. Właściwie nie mieli okazji żałować, że ich działa znalazły się po drugiej stronie rzeki. Niemcy bowiem w natarciu na ich stanowiska zamiast pancerza używali wręcz odmiennej osłony.

Oto wypuszczali białą rakietę, a następnie, gnając przed sobą cywilną ludność — przeważnie kobiety i dzieci, przechodzili przez otwarte przestrzenie, aby podejść bliżej do polskich stanowisk. Te krzyżackie praktyki uprawiali na odległościach do 500 m, przy czym kryli się za cywilów, sądząc naiwnie, że są niewidoczni. Jeden ze "*sniper'ów*" zastosował inną taktykę: krył się za krową. Tym razem przecenił humanitarne uczucia Polaków. Zakropili z *Brenów* zarówno Niemca, jak i krowę. Wobec tego Niemcy porzucili te chwyty i zaczęli nacierać "po ludzku". Raz udało się im podczołgać grochowiskiem na odległość 40 m. od stanowisk pepanców, lecz granaty ręczne zlikwidowały śmiałków.

Ale i w pepancach nie obeszło się bez strat, gdy ciężkie moździerze wymacały ich stanowiska.

Kiedy zaszła potrzeba wysłania patrolu bojowego nad rzekę — oczywiście poszły pepance. Nad Lekiem wpadł w ich ręce patrol niemiecki. Trzech Niemców uciekło, dwóch poległo, a ich dowódca — oficer, dowiedziawszy się, że ma do czynienia z Polakami, strasznie się przeraził i swoimi informacjami uchronił patrol od natknięcia się na silne pozycje niemieckie.

ZA RENEM NIE LEPIEJ

Ale ta cała wojaczka nie zadawalniała pepanców. Ich miejsce było przy działach, po drugiej stronie rzeki.

—Idziemy do naszych! — wesoło oświadczył kapitan W. w nabrzmiałą ogniem i nasiąkniętą krwią noc naszych przepraw przez pamiętny Ren.

To było wszystko, co wiedzieliśmy o nim. Ktoś jeszcze twierdził, że dowódcy pepanców udało się dotrzeć do drugiego brzegu. Co się potem stało w chaosie tej nocy — nikt nie wie. Zniknął bez śladu — jak wielu innych w tej dziwnej bitwie.

Przykry zawód spotkał grupę pepanców, która z takim poświęceniem przeprawiła się na północny brzeg, tracąc swego ulubionego dowódcę i wielu kolegów. Oto w tym dniu już tylko cztery działa pozostały dywizjonowi, a część ocalałych obsług walczyła jako piechota. Wobec tego nowoprzybyła grupa znów otrzymała odcinek do obrony i pod dowództwem podporucznika Mk. okopała się mając przed sobą w odległości 80 m. stanowiska Niemców. To ostatnie jest o tyle nieścisłe, że zdaje się większość nieprzyjacielskich oddziałów na tym odcinku składała się z żołnierzy narodowości rosyjskiej. Rżnęli w naszych ze swoich siedmiu *Spandau'ów* obficie i niecelnie, a nasi, oszczędzając resztek amunicji, strzelali tylko do konkretnych celów. Ten sport był szczególnie uprawiany przed wieczorem, kiedy dobrze schowany przeciwnik wychylał nosa, aby wymknąć się do tyłu — na kolację. Polskie stanowiska znajdowały się nieco wyżej, więc polowanie odchodziło na całego. O skutkach donosiły krzyki i jęki rannych, często w języku rosyjskim. "*Wańka, spasi*! . . ." — błagał głos pod Arnhem.

W dniu przed ewakuacją, na stanowiska naszych spieszonych artylerzystów zwalił się huraganowy ogień ciężkiego kalibru, który trwał cztery i pół godziny. W nakazanym czasie cicho i sprawnie spłynęli ze swoich stanowisk i klucząc między Niemcami, przedostali się do punktów przeprawowych na Leku.

NIESZCZĘŚLIWE LĄDOWANIE

Lecz jak to się stało, że nie było dla nich miejsca przy działach ppanc.? To już jest cała epopeja, bez której historia walk w Arnhem nie miałaby pełnego wyrazu.

W pierwszym dniu lądowania szybowców, kiedy to jeszcze wojska powietrzne lądujące pod Arnhem, były jak najlepszej myśli, podporucznik Ml., wylądowawszy bez strat ze wszystkimi swoimi pięciu działami, stwierdził, że chociaż Niemcy przywitali ich nie bez ognia i usadowili się na niektórych drogach prowadzących z lądowiska — sytuacja nie jest najgorsza i że można rozpocząć "uczciwą" wojnę.

Do dyspozycji miał części obsług — reszta miała przylecieć szybowcami w dniu następnym oraz dołączyć z rzutu spadochronowego. Chwilowy brak ludzi uzupełniali jednak piloci szybowcowi, Brytyjczycy, świetni towarzysze w boju. Mieli oni pełnić funkcję amunicyjnych.

Po zameldowaniu się w dowództwie Dywizji, podporucznik Ml. otrzymał zadanie wzmocnienia dwoma działami brytyjskiej brygady szybowcowej, a trzema działami — osłonięcia samego dowództwa.

Rzutem szybowcowym następnego dnia miała przylecieć reszta dział i obsług dywizjonu, oraz poczet dowódcy. Podporucznik Ml. wybrał się na lądowisko, aby spotkać swój oddział i był świadkiem tych wszystkich tragicznych zdarzeń, jakie rozegrały się w tym dniu w czasie lądowania szybowców.

Uratowały się jedynie trzy polskie działa z resztką obsług i częścią pocztu dowódcy. Z trzech oficerów tego rzutu do podporucznika Ml. zameldował się tylko jeden. Drugi miał zdruzgotane nogi. Trzeciego nie można było znaleźć w tym rozgardiaszu. Zdołał zameldować się dopiero w następnym dniu i bezpośrednio potem został ciężko ranny odłamkiem z moździerza.

Należy wspomnieć nawiasem, że w ostatnich dniach walk pod Arnhem szpital wojsk powietrznych na północnym brzegu Leku został opanowany przez Niemców, ale zgodnie z umową obu stron walczących w dalszym ciągu — przyjmował rannych Brytyjczyków i Polaków.

W ten sposób wszyscy ciężej ranni automatycznie szli do niewoli, często nie wiedząc o tym, bo fakt utracenia szpitala był trzymany w tajemnicy. Stąd, o ile mowa o rannych Polakach na północnym brzegu Leku, trzeba pogodzić się z myślą, że w najlepszym wypadku są jeńcami.

Po drugim lądowaniu szybowców podporucznik Ml. rozporządzał ośmiu działami, dwoma oficerami oraz częścią obsług, uzupełnioną przez brytyjskich pilotów szybowcowych. Ta właśnie grupa stworzyła prawdziwą epopeję polskich pepanców spadochronowych pod Arnhem.

WALKA DO OSTATKA

Nowy rozkaz wyznaczył im stanowiska w rejonie artylerii *Airborne Division* na południowym skraju miejscowości Oosterbeek, przylegającej do Arnhem. Tam właśnie sprzymierzone wojska powietrzne broniły się do ostatka.

Mając za sąsiadów własną artylerię, nowe stanowiska pepanców stały się oczywiście jednym z najbardziej przeklętych miejsc bronionego obszaru. Od rana do wieczora i od wieczora do rana pociski nieprzyjacielskie wszelkiego rodzaju druzgotały metr po metrze, a o pierwszym zmierzchu ogień przycichał i na przedpole, pozwalające na skryte podejście, między domami w ogrodach, przenikały czołgi niemieckie — "Tygrysy", "Pantery" i lżejsze, aby podprowadzić piechotę i wybadać, czy obrońcy są jeszcze przy życiu.

Wtenczas walki zamieniały się często w szereg pojedynków. Pepance czatowały na czołgi, czołgi polowały na pepance, a niebezpieczne niemieckie działka samobieżne podkradały się i kąsały z boków. Oczywiście *sniperzy* z karabinami maszynowymi, jak zawsze, wtrącali swoje dwa grosze. Wypatrzone ich gniazda likwidowano bezceremonialnie. Specjalny pocisk "*high explosive*" /o niezwykłej sile kruszącej/ z działa ppanc. rozwalał cały dom, w którym ukrywał się *sniper*.



Na dobrze zamaskowanym stanowisku

Każda z obu zaciekle walczących stron zadawała i otrzymywała cios po ciosie. Już w pierwszym dniu na nowych stanowiskich jeden z brytyjskich oficerów wypatrzył niemieckie działo ppanc. i z jednym polskim działem wybrał się na polowanie. Pomysł był dobry, ale niestety Niemcy zdążyli zmienić stanowisko i z kolei przyczaili się na naszych. Parę celnych pocisków rozbiło nam działo, *jeepa*, zabiło niefortunnego inicjatora wyprawy oraz trzech Polaków.

Z kolei nasi byli górą. "Pantera" uwzięła się na 17-funtówkę brytyjską. Wybiła obsługę i ogniem nie dopuszczała nikogo do działa i rannego, który przy nim pozostał. Wtenczas bombardier S. dopadł do tej 17-funtówki i jednym celnym pociskiem rozwalił "Panterę". Niestety na drugi dzień seria ze *Spandau'a* przecięła życie dzielnego żołnierza.

Niemcy nie ustają w bombardowaniu i zaciekłych atakach. Znów jedno polskie działo rozbite, znów są straty w ludziach. Lżej ranny kapral Z. nie chce opuścić kolegów i bierze udział w walkach jeszcze przez trzy dni, póki kula karabinowa nie przeszyła mu gardła.

Czołgi łażą po przedpolu i strzelają z ukrycia. Trudno do nich się dobrać. Tak było z "Tygrysem", który zaczaił się za domem. Polacy nie dają za wygraną i idą do natarcia z . . . działem ppanc. Podciągają je do przodu i z 160 yardów rozpoczynają zaciekły pojedynek. Jest to historia, którą można zatytułować: "Jak kapral G. pojedynkował się z "Tygrysem". Oddali do siebie po cztery strzały. Czołg oberwał i wycofał się.

Niemcy mszczą się, a mają na to środki. Wściekły ogień artylerii i działek samobieżnych w jednym dniu rozbija dwa działa naszym pepancom. W następnym dniu kończy żywot działo sławne z pojedynku z "Tygrysem".

Zabrakło dział, lecz ci, co przeżyli, miotaczem ppanc. zagradzają drogę niemieckim czołgom. Reszta walczy jako piechota.

Wreszcie "Tygrysy" i działka samobieżne po zaciekle odpieranym ataku niszczą ostatnie działo polskich pepanców. Ale to już jest ostatni dzień przed wycofaniem i ewakuacją. Bitwa jest skończona.

PRZEPRAWA PRZEZ REN

Jeszcze końcowy jej akord — przeprawa przez Ren.

Pod morderczym ogniem płyną łodzie, wypełnione niedobitkami spod Arnhem. Świt. Niebo płonie pożarem zbombardowanego miasta. Ale ognia broni niemieckiej nic nie zdołało przytłumić. Ewakuacja skończona. Tych kilkuset, którzy pozostali na brzegu, już nie sposób wydostać. Ostatnie łodzie odbijają od ostróg obmurowania. Wśród rannych na brzegu pojawiają się białe chustki. Lecz karabiny maszynowe nie kończą krwawej roboty. Jest godzina siódma.

Podporucznik Mk. chodzi po brzegu i szuka swoich, namawia pozostałych, śmiertelnie znużonych żołnierzy, aby płynęli wpław. Ren jest szeroki i posiada silny prąd. Znalazło się jeszcze dwóch z pepanców. Nie umieją pływać — muszą pozostać:

—Niech pan porucznik nie czeka . . . Trudno . . . — odpowiadają swemu dowódcy.

Oficer widzi jeszcze paru Polaków, idących do wody. Między innymi księdza-kapelana M. Co jednak później z nim się stało — nie wiadomo.

Podporucznik rzuca się do wody i podpływa do jednej z ostatnich łodzi, podążających na drugi brzeg. Chwyta się za jej skraj, aby odpocząć.

W tej chwili żołnierzowi, który wiosłował, oczy zachodzą mgłą. Dostał. Oficer porzuca łódź i płynie dalej — jak najdalej od łodzi, która przyciąga śmierć.

—W ten sposób uratowałem się — kończy opowiadanie.

* * *

Zapada cisza. Siedzę znów w odwiedzinie u pepanców. Tym razem w ciasnym pokoju wiejskiego domku "*somewhere in Holland*" /gdzieś w Holandii/. Rozmawiamy o tym, co było. Pusto jest, ciemno i cicho. Szef dywizjonu, starszy sierżant, który sam cudem wyszedł cało z arnhemskiej potrzeby, liczy straty i wciąż mu się myli rachunek. Krwawy rachunek . . .

Piękny oddział kapitana Jasia W. bił się wspaniale — pierwszy polski dywizjon artylerii ppanc. spadochronowej.

A kiedy żegnałem się — na progu dobiegł mnie głos:

—Ale nie zapomnij wspomnieć o brytyjskich pilotach szybowcowych. Walczyli w naszych obsługach dział — bili się jak lwy.

—Bądźcie spokojni! Nie zapomnę . . .

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

* Por. poprzednie artykuły w nr. 41, 42 i 43 "Polski Walczącej" z b.r.

Sprawy polskie w książkach angielskich

ANGLIA I FRANCJA WOBEC KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Książka George'a Soloveytchika *Peace or Chaos?** /"Pokój czy bezład?"/ stanowi cenne uzupełnienie *World in Trance* /"Świat w transie"/ Leopolda Schwarzschilda. Nie dorównywa tamtej rozległością widoków, głębokością rozbioru, świetnością stylu — ale obu autorów łączy wiele zdrowych rzeczy: trzeźwość, niechęć do pacyfistycznego frazesu t.zw. lewicy intelektualnej, należyta ocena Niemiec, miłość do Francji, wstrzemięźliwy stosunek do Rosji i krytyczna ocena brytyjskiej polityki zagranicznej w okresie dzielącym obie wojny.

Autor cytuje jaskrawe przykłady ślepoty politycznej społeczeństwa angielskiego. "Nasi radykali utrzymywali wbrew rzeczywistości, że Francuzi są reakcyjnymi militarystami a Niemcy demokracją". Vernon Bartlett jeszcze w r. 1933 uważał, że "Niemcy będą stanowiły mniejsze niebezpieczeństwo dla pokoju, jeśli ich sąsiedzi będą mniej jaskrawo silniejsi od nich". Ten sam publicysta głosił, iż "wyzyskiwanie cytat z *Mein Kampf* przeciwko Hitlerowi, kiedy znajduje się on u władzy, jest rzeczą . . . nielojalną". Priestley w r. 1931 pisał: "Ci wszyscy, którzy głoszą, że wojna jest nieunikniona . . . są albo niebezpiecznymi szaleńcami albo zbrodniarzami. Powinni być zamknięci o chlebie i wodzie". Jeszcze na kilka tygodni przed napaścią Niemiec na Polskę jeden z ministrów brytyjskich wyraził się, że woli "dawać Niemcom pieniądze za cenę utrzymania pokoju niż Polakom za cenę przygotowywania wojny */paying the Germans to make peace instead of paying the Poles to make war/*".

Jaka była odpowiedź Brytanii i Francji na najazd Niemców na Polskę? — zapytuje Soloveytchik. "Wyczerpawszy wszystkie środki w celu uniknięcia wojny niemal za wszelką cenę; poddawszy jeden za drugim żywotne bastiony Europy; odmówiwszy walki "za Czechosłowację", zdecydowały wypełnić swoje zobowiązania wobec Polski i dn. 3 września 1939 r. formalnie wypowiedziały Niemcom wojnę według wszelkich reguł dziewiętnastowiecznej procedury. Po czym każde z państw zajęło się własnymi interesami, ostrożnie unikając zaatakowania Niemiec od zachodu — jedyna skuteczna pomoc, jaką mogli Polsce okazać. Dzięki temu Hitler mógł bez przeszkód ześrodkować na wschodzie właściwie wszystkie swoje siły wojskowe, zniszczyć Polskę" i podzielić się nią "ze swoimi chwilowymi przyjaciółmi, których jeszcze niedawno określał jako wyrzutków ludzkości". Francuzi przynajmniej powołali pod broń kilka milionów ludzi i przeprowadzili mobilizację gospodarczą, Anglia nie zdobyła się nawet na to".

Kreśląc plan rozbioru Niemiec, jako jedynej istotnej gwarancji pokoju, autor dowodzi, że gdyby w r. 1919 Prusy Wschodnie przyłączono do Polski albo do państw bałtyckich, czy nawet do Rosji, sytuacja gospodarcza Niemiec nie pogorszyłaby się ani trochę. Względy strategiczne nakazują w sposób nieodparty dokonanie tej amputacji. Względy uczuciowe nie mogą, rzecz prosta, zaważyć: Hitler nauczył świat, jak przesiedlać ludność z jednego kraju do drugiego — dla ludności Prus Wschodnich znajdzie się miejsce w samych Niemczech. Autor przypomina, że wielki Humboldt, jeden z delegatów pruskich na kongres wiedeński, oświadczył, że oddanie Rosji Mazowsza "stanowi bezpośrednie zaproszenie Rosji do wzięcia ujść Wisły i Niemna i że . . . Prusy /Wschodnie/ znajdą się niemal w lepszym położeniu o ile Rosja zagarnie je także".

Soloveytchik ostro potępia politykę Becka, dla którego znajduje to samo określenie co dla Papena: "złowrogi". "Zamiast podtrzymać Czechów, Beck skorzystał z ich załamania się w celu zagrabienia Cieszyna, którego Polska bez powodzenia domagała się od wielu lat". Zapomniano, że popieranie polityki Hitlera wobec Czechosłowacji doprowadzi do okrążenia Polski przez Niemcy od południa. Również polityka Polski wobec mniejszości narodowych — ukraińskiej i żydowskiej — pozostawiła ślady, które nie łatwo dadzą się zatrzeć.

WIECZNA ROSJA A POLSKA

Walter Kolarz ogłosił książkę *Stalin and Eternal Russia** /"Stalin i wieczna Rosja"/, na temat zmian ideologicznych w Rosji sowieckiej, w ciągu ostatnich dziesięciu lat czyli przejścia od prawowiernego bolszewizmu międzynarodowego do sowieckiego patriotyzmu. Książka Kolarza jest ujęta popularnie, ale źródłowo; cechuje ją zwięzłość, jasność i na ogół bezstronność.

O Aleksandrze Newskim pisała encyklopedia sowiecka w r. 1930, że "oddał cenne usługi kupieckiemu kapitalizmowi w Nowogrodzie", a pomijała całkowitym milczeniem zwycięstwo odniesione przez niego nad Niemcami na jeziorze Peipus. Podobnie o Mininie czytaliśmy jako o "przewódcy kupieckiego mieszczaństwa", przy czym nie obyło się bez ironicznej uwagi: "historycy burżuazyjni idealizują go jako bezklasowego bojownika o "Świętą Matkę" Rosję i pragną uczynić zeń bohatera narodowego". W dziesięć lat później, w mowie, wygłoszonej dn. 7 listopada 1941 r., Stalin stawia Aleksandra Newskiego i Minina jako bohaterskie wzory do naśladowania, wzywa obywateli sowieckich, by przejęli się duchem tych "naszych wielkich pradziadów". Popularnych w pewnym okresie przewódców buntów, Razina i Pugaczowa, usuwa się w cień, przyznając, że opierali się częściowo na "elementach bandyckich". Sławieni są nie tylko Piotr Wielki, Suworow i Kutuzow, ale nawet Iwan Groźny, którego oficjalny historiograf carski Karamzin przyrównywał do Kaliguli. Co więcej, reżyser filmu o Iwanie Groźnym, Eisenstein, widzi w nim "jednego z najbardziej oświeconych i postępowych duchów swego czasu".

W zakresie polityki bieżącej wrócono do haseł panslawistycznych, w czym autor upatruje dla Sowietów duże niebezpieczeństwo. Próba zrobienia z Moskwy ośrodka panslawizmu odbija się ujemnie — podobnie jak za czasów carskich — na stosunku do zagadnienia polskiego. W r. 1867 poeta rosyjski Tiutczew, podnosząc, że ze wszystkich narodów słowiańskich jedyna Polska nie bierze udziału w kongresie moskiewskim, nazwał ją "naszym Judaszem", którego nieprzyjaciele Słowian obsypują łaskami".

Także i dzisiaj, w czerwonej Moskwie — pisze Kolarz — naród polski reprezentują *outsiderzy*, koła kierownicze szukają oparcia na Zachodzie. "W sumie Związek Patriotów Polskich w Moskwie, to jedynie nowa nazwa dla partii prorosyjskiej, która istniała wśród Polaków w różnych czasach, ale która nie podbiła nigdy serca narodu polskiego. W r. 1919 nadała sobie miano Polskiej Partii Komunistycznej, w r. 1861 był to margrabia Wielopolski i jego poplecznicy, w r. 1791 konfederacja targowicka. Tę grupę prorosyjską Moskwa systematycznie wygrywała przeciwko przeważającemu w Polsce prądowi politycznemu, wywołując dalsze powikłania w konflikcie polsko-rosyjskim". Według Kolarza winni są nie tylko Rosjanie. Także władcy Polski przy każdej sposobności wtrącali się do wewnętrznych spraw Rosji, Polska w ciągu stuleci toczyła osiemnaście wojen ze swoim wschodnim sąsiadem, polska klasa panująca miała dążność do ekspansji na niepolskie terytoria na Wschodzie.

Ideologia sowiecka nie usunęła sporu polsko-rosyjskiego. Wprawdzie podkreślała jego aspekt społeczny i sprowadzała go do rozgrywki pomiędzy "panami", szlachtą polską, a ukraińskim i rosyjskim chłopem, ale "było to niewiele więcej, niż nowa formuła odwiecznego rozdźwięku, pogorszonego przez sowiecką politykę narodowościową, która oznaczała budzenie świadomości kulturalnej i narodowej na wschodniej granicy Polski".

Nowe patriotyczne ujęcie historii Rosji wywołało dalsze psucie się stosunków rosyjsko-polskich. Idealizacja Suworowa, którego nazwisko związane jest dla Polaków z rzezią Pragi, czy też przywrócenie do łaski zakazanej przez szereg lat opery Glinki "Życie za cara" pod zmienionym tytułem "Iwan Susanin", odmalowującej najazd Polaków na Rosję w początkach XVIII w. — świadczą o "zaadoptowaniu przez Sowiety antypolskiej tradycji historii Rosji". Równie znamienny jest film o Bohdanie Chmielnickim: "Po raz pierwszy pokazano go na wiosnę 1941 r. — miał to być rodzaj historycznego usprawiedliwienia zajęcia Galicji /sic!/ Wschodniej przez czerwoną armię. Ideą filmu jest, że podstawą potęgi narodu ukraińskiego musi być związek z Rosją. Film kończy się słowami hetmana: "Niech żyje naród rosyjski, nasi bracia, którzy wyciągnęli do nas pomocną dłoń w czasie straszliwej walki".

Ponadto ustanowiono order im. Chmielnickiego i przemianowano Perejasław, gdzie stanęła unia ukraińsko-rosyjska, na Perejasław-Chmielnicki. Taką samą manifestacją jedności polsko-ukraińskiej były jubileusze Tarasa Szewczenki w r. 1939 i Iwana Franki w r. 1941: Franko urodził się i mieszkał w Małopolsce Wschodniej, to też "uczczenie pamięci tego człowieka, który jako socjalista ukraiński zdecydowanie przeciwstawiał się polskiej klasie panującej, było równoznaczne z ponownym stwierdzeniem pretensyj sowieckich do obszaru, gdzie Franko się urodził".

Rozważając stanowisko Rosji w sierpniu 1939 r., Kolarz wskazuje, że miała ona do wyboru obowiązek solidarności międzynarodowej z jednej strony, a pokojowy rozwój własnego przemysłu i przyłączenie państw bałtyckich, Ukrainy Zachodniej /terminologia autora!/ oraz Besarabii — z drugiej. Jeśli Sowiety nie udzieliły otwartej pomocy Chinom w ich walce z Japonią, jakże można było się spodziewać że zechcą wziąć czyjąkolwiek stronę w wojnie "mocarstw imperialistycznych"? "Co więcej, przypuszczenie, że Rosja wejdzie do sojuszu, którego bezpośrednim celem jest obrona całości Polski, było psychologicznym absurdem dla każdego, kto zna historię Rosji".

AMERYKANIN U LOTNIKÓW

*The Road Back to Paris** /"Droga powrotna do Paryża"/ A. J. Lieblinga, korespondenta wojennego znanego magazynu nowojorskiego p.n. *New Yorker*, zawiera dwa rozdziały poświęcone Polakom: pierwszy */It Showed Nice Instincts/* mówi o polskich lotnikach, drugi */The Long Name for the Lifeboat/* ma charakter anegdotyczny.

Polacy są nie tylko dobrymi pilotami — pisze Liebling — ale potrafią również swoją umiejętność w jaskrawy sposób ukazać. Jeden z oficerów angielskich tak to określił: "Polacy knockoutują Niemców w powietrzu tuzinami, a kiedy wracają z boju lądują jak rój ós, pod wiatr, z wiatrem, w poprzek wiatru, wszędzie. Wyskakują z kabin i całują jeden drugiego i liczą na palcach wielu Niemców zestrzelili".

W lecie r. 1941 autor udaje się na miejsce postoju trzech polskich dywizjonów. Opisuje rozmowę z mechanikiem, który plącze słowa francuskie i angielskie: "Znajdujemy się w ustawicznym ruchu z kraju do kraju — usprawiedliwia się; zapomniałem mówić po polsku, zapomniałem po francusku, po angielsku jeszcze się nie nauczyłem, czasami więc wszystko mi się miesza". Liebling podkreśla namiętną gestykulację towarzyszącą opowiadaniom lotników: "obserwując ich, można było śledzić równocześnie trzy czy cztery pojedynki powietrzne. Od czasu do czasu jeden z lotników wydawał terkocący dźwięk, który naśladował karabin maszynowy, i śmiał się przy tym, jakby powiedział dobry kawał. Ich *battle dressy* odznaczały się specyficznie słowiańskim wyglądem, składały się z rodzaju rosyjskiej bluzy, mocno ściśniętej w pasie, i z luźnych szarych spodni wełnianych, wpuszczonych w czarne buty".

Wszyscy lotnicy mieli po dwadzieścia kilka lat z wyjątkiem pewnego wysokiego oficera o krogulczym nosie, właściciela wielkich dóbr ziemskich w Polsce, który mimo swych 38 lat brał jeszcze udział w lotach.

Liebling przygląda się startowi do lotu na Francję; towarzyszy mu Irlandczyk, który przedstawia się jak następuje: "Jestem podpułkownikiem lotnictwa i mam nieszczęście dowodzić tą kolekcją dziwaków i wariatów". Przedmiotem troski kapitana jest zwyczaj Polaków opuszczania formacji i staczania walk indywidualnych. W czasie bitwy o Wielką Brytanię — dodaje — Polacy stacjonujący na tym lotnisku strącili 130 samolotów niemieckich. Na początku były pewne nieporozumienia językowe. Jedno z nich mogło się skończyć tragicznie. Na lotnisku znajdowały się dwa dywizjony: po jednej stronie byli Nowozelandczycy i Kanadyjczycy, po drugiej Polacy. Dowódca Kanadyjczyków otrzymał rozkaz: "Zaczynaj i startuj pierwszy */first/*", dowódca Polaków: "Zaczynaj i startuj ostatni */last/*". Polak zrozumiał tylko słowo "Zaczynaj", i obie grupy samolotów wystartowały w tym samym czasie. "Nie mogłem znieść tego widoku. Czy pan da wiarę, że wszystkie samoloty oderwały się od ziemi jednocześnie, wszystkie 36, bez jednego zderzenia? Wyglądało to tak jakby ktoś palce jednej ręki włożył między palce drugiej. Polacy pewnie myśleli, że to był szczególnie efektowny manewr".

Powrót z lotu na Francję odbywa się szczęśliwie, ale nie upolowano żadnego Niemca. "Czy to nie śmieszne? — odzywa się oficer o krogulczym nosie. — W ciągu dwóch kampanij w dwóch krajach mieliśmy trochę starych samolotów. Zjawiło się wówczas tysiące Niemców, aby spędzić nas z nieba. Teraz mamy tyle pięknych samolotów i nie możemy znaleźć Niemca gotowego do walki z nami".

Polacy w lotnictwie przydają się jeszcze do czegoś. "W czasie pijatyk — zauważa pewien Anglik — dobrze jest mieć z sobą Polaka. Jeśli zachodzi jakieś nieporozumienie z policjantem, wszyscy udajemy Polaków. Polak, spełniający rolę straży tylnej, odzywa się: "Żałuję, ale moi przyjaciele dobrze nie rozumieją po angielsku. Może pan także mówi po polsku, nie?". Glina macha ręką bezradnie i mówi: "A idź sobie!".

Przechodząc do londyńskiej wieży Babel, Liebling twierdzi, że faworytami jego były dwa przeciwieństwa: Norwegowie i Polacy. "Norwegowie słuchają i nigdy nie mówią. Polacy mówią i nigdy nie słuchają". Zdaje się, że autor idąc śladem Norwegów, słuchał, ale to co wysłuchał nie bardzo zrozumiał. Sarkastyczny aforyzm polskiego dyplomaty, że "Polska przed wojną była demokracją, ale bez przedstawicielstwa parlamentarnego", żartobliwe odezwanie się pewnego Polaka, że całe życie był wierny jednej kobiecie: "każdej wiotkiej blondynce z chorobliwym wyrazem twarzy", czy też anegdotę o lotniku Radomskim, który, atakowany przez trzy "Messerschmitty", chciał zamknąć gaz, szukał rączki od gazu i nie mógł jej znaleźć, w końcu okazało się, że rączka jest, tylko pilot rękę ma odstrzeloną — bierze Liebling za punkt wyjścia do swoich wniosków o ujemnych cechach charakteru polskiego.

SCRUTATOR

George Soloveytchik. Peace or Chaos? Londyn, Macdonald /1944/; str. 251 i Ill.

* *Walter Kolarz.* Stalin and Eternal Russia. Londyn, Lindsay Drummond, 1944; str. 144.

* *A. J. Liebling.* The Road Back to Paris. Londyn, Michael Joseph, 1944; str. 260.

Skrzynka pocztowa

LWÓW I LIVERPOOL

Z Redakcji "Skrzydeł" otrzymaliśmy następujący list.

W ponurym okresie 1940-1941, *kiedy Anglią z bohaterstwem znosiła cios za ciosem, znaczny procent wśród garstki lotników, broniących w dzień i w nocy tej wyspy, stanowili Polacy.*

Dywizjonowi Lwowskich Puhaczy przypadł chlubny zaszczyt obrony Liverpool'u, bezlitośnie niszczonego szczególnie w nalotach nocnych.

Obecnie powstał projekt, aby uczcić pamięć tego pięknego okresu braterstwa wspólnej walki — przez ufundowanie Ołtarza ku Czci Matki Boskiej Królowej korony Polskiej we wspaniałej Katedrze Liverpoolskiej.

Ołtarz ma być ufundowany wspólnie przez Brytyjczyków i Polaków, rozmiary jego nie są ściśle ustalone i zależą w pierwszym rzędzie od środków pieniężnych, którymi będzie dysponował Komitet. Lwowscy lotnicy bronili Liverpoolu w najcięższych chwilach, jakie to miasto przeżywało w tej wojnie. Dziś Liverpoolanie i Lwowianie pragną oddać swe miasta pod opiekę Królowej Korony Polskiej. Wyrażamy głęboką nadzieję, że wszyscy Polacy i wszyscy katolicy angielscy przyczynią się do ufundowania Ołtarza Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej.

Prosimy o nadsyłanie ofiar pod adresem: The Editor, "Wings", 9, Chantrey House, Eccleston Street, London, S.W.1.

JESZCZE W SPRAWIE ARTYKUŁU "DWIE EMIGRACJE"

Szanowny Panie Redaktorze,

Zostałem zaskoczony listem p. Żywonia, ogłoszonym w Nr. 41 "Polski Walczącej" i przypisującym mi protekcjonalne poklepywanie po ramieniu masy emigracji zarobkowej we Francji. Więcej nawet — autor listu skłonny jest twierdzić, że cała dotychczasowa linia pisma w stosunku do emigrantów spaczona została moim artykułem p.t. "Dwie emigracje". Pragnę wyjaśnić niewątpliwe nieporozumienie, jakie musiało w tym wypadku nastąpić.

Celem mego artykułu było podkreślenie wielkiego wkładu do wojny właśnie emigracji zarobkowej. Ani przez chwilę nie starałem się podkreślić niezwykłej roli owych stu osób emigracji politycznej. Pisałem wyraźnie chyba, że: "Stopnie oficerskie i podoficerskie, sztaby, łączność z innymi Aliantami i innymi organizacjami podziemnymi, wszystko to spoczywało w rękach mocno zniszczonych od kilofa i pracy ziemnej". Skąd więc przypuszczenie, że intencją moją było umniejszanie roli emigranta "starego"? Skąd twierdzenie że stworzenie organizacji oporu miało być przeze mnie przypisywane całkowicie owej setce politycznej? Garstka ich "pomogła w stworzeniu organizacji walki" — to wszystko. Nie ma tam żadnych niedopowiedzeń i napomknień.

Twierdzę, że załamanie duchowe przeszliśmy wszyscy w roku 1940. Ci wszyscy, którzy właściwie oceniali polityczną i wojskową sytuację. To samo mówią emigranci z Francji i Belgii, obecnie służący w wojsku polskim. To samo widzieli wszyscy w owym czerwcu 1940 roku. Oczywiście, że można było napisać o "duchu niezłomnym", "bohaterstwie" i "pewności zwycięstwa". Byłoby to na pewno zgodne z polskim zamiłowaniem do gloryfikacji i do frazeologii. Nie odpowiadałoby jednak prawdzie. Po klęsce francuskiej depresję głęboką przechodzili nie tylko Polacy, lecz cały świat walczący z Niemcami faktycznie i uczuciowo. Czyż emigranci polscy byliby w tym wypadku takim zupełnym wyjątkiem?

I jeszcze jedno — artykuł mój napisałem po rozmowie z Justynem, organizatorem i przewódcą POWN. Z nim przeto nawiązałem ów kontakt, na brak którego skarży się p. Żywoń. Jest to chyba człowiek najbardziej uprawniony do mówienia o emigracji francuskiej. Mówi zaś o niej w słowach niezwykle pochlebnych i z najwyższym uznaniem. Starałem się odtworzyć dzieje ich walk jak najbardziej dokładnie.

Łączę wyrazy szacunku

Z. Nagórski, jr.

UPROSZCZONY PODRĘCZNIK JĘZYKA POLSKIEGO DLA SAMOUKÓW

V. SWICZ

"FIRST STEPS IN POLISH"

ukazał się w druku.

Do nabycia w księgarniach polskich

cena sh. 4/6.

Głos krytyka angielskiego: *"This is not only a grammar, but an entirely new presentation of a language".*

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM

ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-EJ WLKP. DYW. PIECH.

Stanisław Jóźwiak na fundusz wdów i sierót po poległych żołnierzach 14-ej WLKP. Dyw. Piechoty £5 /pięć funtów/.

WYDAWNICTWA BIBLIOTEKI WALCZĄCEJ POLSKI

Nakładem "Biblioteki Walczącej Polski" pod redakcją Wacława Śledzińskiego ukazały się ostatnio następujące publikacje:

"Polish Underground Army", by Mark Valet with a foreword by Wacław Śledziński, str. 32 + 4, 7 ilustracyj. Broszura, obrazująca powstanie, rozwój i działalność polskiej armii podziemnej. Cena 2/6.

"Armia Krajowa", napisał Marek Valet, str. 32 + 4, 7 ilustracyj. Ta sama broszura w języku polskim. Cena 2/6.

"Z ziemi włoskiej do Polski", napisał Marian Czuchnowski, str. 24 + 4, 14 ilustracyj. Tematem tej pracy są dzieje II Korpusu Polskiego i jego walki we Włoszech. Cena 2/6.

POSZUKIWANIA

Poszukiwani: TADEUSZ i BOLESŁAW OGRODNIK ze Lwowa synowie Zygmunta i Józefy.

TADEUSZ RYBICKI z Krzemieńca, syn Marii i Kazimierza.

STANISŁAW GĘBAROWICZ z 40 pp. ze Lwowa.

Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

Na pomoc Warszawie: £1,144

Dear Sir,

Will you please accept this small gift of £2 to help in the relief of some poor soul in Warsaw.

Yours faithfully,

Dora Sheppard

* * *

Inżynierowie i technicy Wojskowego Instytutu Technicznego przydzieleni do Admiralicji Brytyjskiej przekazują na pomoc ludności Warszawy jednorazowo 25% swych miesięcznych poborów brutto, łącznie £170.17.10 /słownie: sto siedemdziesiąt funtów siedemnaście szylingów i 10 pensów/.

Z poważaniem

A. Boroński, J. Glass, J. Hupert, J. Jędrychowski, A. Kobiernicki, S. Kuhn, J. Młoduchowski, T. Osiński, W. Rogulski, W. Rosiński, E. Rzymowski, W. Struszyński, J. Sczaniecki, P. Tarnowski, H. Toczyłowska, S. de Walden, A. Woroncow, Z. Żyszkowski

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłamy kwotę £40.5.0 /słownie: czterdzieści funtów, pięć szylingów/ zebraną w formie dobrowolnych składek przez Pracowników Polskiej YMCA w miesiącach: lipiec, sierpień, wrzesień, październik 1944 r. z przeznaczeniem na Pomoc Warszawie.

Z poważaniem

Za Polską YMCA
/H. Tomaszewska/

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Przy niniejszym przesyłam przekaz pocztowy na sumę £1 /słownie: jeden funt szterling/ z prośbą o przekazanie tej sumy na rzecz pomocy Warszawie.

Z żołnierskim pozdrowieniem

J.S.

* * *

Przesyłam kwotę £1 sh.10 złożoną na moje ręce przez AC 2/st. szer. W. Józefa na pomoc wysiedlonym do Pruszkowa mieszkańcom Warszawy.

J. B., Oficer Oświatowy

* * *

Przekazuję w załączeniu sh.10 zamiast światła w Dzień Zaduszny na mogile ś.p. kpt. inż. Alfreda Nechaya.

Z poważaniem

F.G.

* * *

Redaktor "Polski Walczącej",

Załączam czek na £2 na pomoc Warszawie od Krzysztofa i Jany K.

M.K.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamiast paczek do rodziny w Warszawie, przesyłam w załączeniu £10 /dziesięć funtów/ z prośbą o przekazanie ich na fundusz pomocy ludności Warszawy.

Łączę wyrazy poważania

inż. T. Suszczewski

Zokazji imienin Majora Inż. Karola W . . . Polskiego Senior Oficera No. 1 R.S. R.AF. Station Cr . . . podoficerowie personelu stałego /Cpl's/ zamiast prezentu imieninowego przekazują sumę £8.5.0 na rzecz pomocy ludności walczącej Warszawy.

* * *

W załączeniu przesyłam postal order na sumę £26 — składkę "Członków Zrzeszenia Polaków pracujących w fabryce D. Napier and Son w w Liverpoolu" z prośbą o przekazanie na Fundusz Pomocy Warszawie.

Z poważaniem

za zarząd
W. Gomoliszewski

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £262.7.10 /słownie: dwieście sześćdziesiąt dwa funty, siedem szylingów i dziesięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,144.7.4 /słownie: tysiąc sto czterdzieści cztery funty, siedem szylingów cztery pensy/.

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Dla uczczenia ś.p. kpr. Jana Prodana prawego żołnierza pierwszej Dyw. Pancernej odznaczonego Krzyżem Walecznych, poległego na polu chwały w Holandii — składam sh.10 na paczki dla rannych żołnierzy.

W smutku pogrążony przyjaciel

pchr. Po. Karol

* * *

Ś.P. kpr. Zygmunt Matyjas z pierwszej Dyw. Panc. wzorowy żołnierz, zawsze z zapałem oddający się służbie dla Ojczyzny, poległ na polu chwały w Holandii.

Dla uczczenia jego pamięci sumę sh.10 na fundusz opieki nad rannymi żołnierzami składa

towarzysz broni
pchr. Po. Karol

* * *

P. Wanda Zającowa jako zwrot kosztów za fotografię przesłaną jej z Redakcji "Polski Walczącej" sh.1.

PORADNIK ŚWIETLICOWY

Wyszedł z druku Nr. 48 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii, pod tytułem: Kraków — polski Oxford.

Numer krakowski zawiera oprócz artykułów K. Estreichera, Z. Nowakowskiego i A. Wasilewskiego, napisanych specjalnie dla "Poradnika", fragmenty z dzieł Wyspiańskiego, Rydla, Barycza, Tomkowicza, Boya Żeleńskiego i wielu innych. Całość uzupełniają piękne fotografie oraz liczne reprodukcje obrazów malarzy krakowskich a więc Matejki, Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego, Fałata i Kossaka.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

STARA PRZYJAŹŃ NIE RDZEWIEJE



Maquis i Maczki . . .

WSYPA! . . .



—Feluś, dlaczego te Holenderki tak płaczą? Pewnie z radości!
—Nie, tylko widzą, że my już "żeniaci" ze Szkotkami . . .

OSTROŻNY

W pewnym biurze wojskowym w Szkocji oficerowie zapytują rotmistrza:

—Panie kolego, co się panu stało? To pan już nie nosi monokla?!

—Nie, jestem przesądny. Tylu moich kolegów z monoklami poległo w Normandii, więc postanowiłem nie ryzykować . . .

DEPRESJA GEOGRAFICZNA A ROZMOWY W KASYNACH

—Nie mogę zrozumieć, jak można w ten sposób pisać o naszej I. Dywizji w Holandii? Podają, że nasza Dywizjia znalazła się w depresji!!! . . .

—No właśnie! Ja też to czytałem i jestem oburzony! . .

GDZIEŚ W SZKOCJI

Gdy telefonista nie zrozumie treści fonogramu . . .

—Kto nadał?

—Dowódca bazy polowej!

Maszynistka pisze: dowódca oazy polowej . . . gdzieś w Szkocji . .

ROZMOWA RODAKÓW W EDYNBURGU

—Pan wraca do Londynu?

—Mój panie, uniknąłem śmierci od bomby latającej, a teraz miałbym się tam pchać, kiedy jest przesilenie w rządzie . . .

WŚRÓD SPADOCHRONIARZY



—To u was są też "Pestki"?
—Tylko jedna — Sosaba! . . .

F R A S Z K I   W O J E N N E

ZDRADZONY KONIK

Aleksandrowi Jancie

Dziennikarz, co o jeńcach pisywał obficie,
omalże u nas w czołgu nie postradał życie.
Ze zdarzenia tego ta prawda wynika:
Nie dosiadaj czołgu, gdy masz już konika!

AKTUALNE PRZYSŁOWIE

Pociski koło domu gwiżdżą wciąż bez przerwy.
To bardzo nieprzyjemne — to wprost szarpie nerwy.
Młody strzelec się bardzo dziwi pokryjomu,
bo mówiła mu mama: Nie gwiżdż koło domu . . .

KACZKI

Kiedy czołgi strzelały skryte między krzaczki,
jeden z czołgów ustrzelił dwie niewinne kaczki.
Korespondent wojenny, co wszystko dostrzega,
zawołał: To na pewno strzelił mój kolega!

KANAŁY

Saper, który forsował wszystkie tu kanały,
zgłosił się w ewidencji: "Mam interes mały.
Zmieńcie mój fach cywilny, proszę nie bez racji.
Chciejcie wpisać: inżynier od kanalizacji".

OR-SI

WYJAŚNIŁ . . .

W kinie angielskim w czasie wyświetlania *news'ów* z wkraczania oddziałów pancernych do Ypres, Gandawy i Holandii:

Angielka: — To polskie czołgi!!

Anglik: — Ależ nie. Przecież słyszysz objaśnienia, że to Kanadyjczycy.

—Przecież mają litery "Pl".

—To ty nie wiesz że to oznacza "*Platoon*" czyli pluton . . .

"ANALFABECI . . ."

—Nie mogę zrozumieć dlaczego w prasie angielskiej tak mało piszą o naszej I. Dywizji!

—Piszą, tylko trzeba umieć czytać!

—Gdzie???

—Między wierszami! . . .

POWIEDZONKO

Mówią, że I. Dywizja Pancerna czeka obecnie jeszcze na przypływ "Fali" — z Anglii.

AUTENTYCZNE

—Taką krzywdę zrobili dziennikarze gen. Sosabowskiemu, tak go ośmieszyli!

—W jaki sposób?

—No przecież wyraźnie napisali, że generał wyruszył na zagrożony odcinek na damskim rowerze . . .!

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Kto wie . . .

a/ Który z trzech wielkich wojowników: Wellington, Marlborough czy Napoleon — "cyganił" podczas gry w szachy?

b/ Kiedy marszałek Smuts spotkał po raz pierwszy premiera Churchilla?

c/ W ogrodzie sąsiada rośnie drzewo owocowe, którego gałęzie przechylają się do twego ogrodu. Z gałęzi tej spadają owoce do twego ogrodu. Kto ma prawo do tych owoców?

/Odpowiedzi na końcu tego kącika/

Generał K. A. N. Anderson, zauważył, że niektórzy oficerowie zapuszczają sobie zbyt długie włosy. Wydał wobec tego następujący rozkaz: "Życzę sobie, aby oficerowie mnie podlegli ścinali sobie włosy *à la* Timoszenko a nie *à la* Beethoven".

/d/

Warto być autorem w Anglii. "*Evening Standard*" opowiada, że Somerset Maugham, popularny autor angielski zobowiązał się napisać szereg krótkich nowelek. Gdy omawiano honorarium Maugham tłumaczył, że najważniejszą rzeczą jest pomysł. "Gdy mam temat jest mi obojętne czy piszę powieść czy nowelkę". Ostatecznie ustalono honorarium na 675 funtów za nowelkę objętości 1000 słów. /d/

Odpowiedzi:

a/ Napoleon. b/ 11 grudnia 1900 r. podczas wojny burskiej, kiedy Churchill, który był wówczas korespondentem wojennym, został wzięty do niewoli. Marszałek Smuts walczył wówczas po stronie burskiej i jego to była decyzja, że Churchill ma być traktowany jako jeniec, a nie jako korespondent wojenny i jako taki odesłany w myśl owczesnych przepisów do swego oddziału. c/ Sąsiad, jako właściciel drzewa.

/d/

NASI NA KONTYNENCIE



—Dlaczego pani trzyma ręca na głowie?
—To pan nie wie? . . . Poddaję się . . .

Tekst i rysunki: TONY

DO RANNYCH ŻOŁNIERZY SPADOCHRONOWYCH

Ranni żołnierze wojsk spadochronowych przebywający w szpitalach angielskich lub polskich na terenie W. Brytanii podadzą swe adresy do Komendanta Spadochronowego Ośrodka Zapasowego /Polish Forces, P/100/.

SPIS RZECZY:

Nowa książka   Nowa książka

JERZY POMIAN

Z ZIEMI POLSKIEJ DO SZKOCKIEJ

powieść

Cena 10/6   Stron 307

SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8 Hope Street, Edinburgh

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3⅜ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyte, London, W.C.1

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Messrs. Hutchinson inaugurate
International Authors Ltd.
—a new enterprise in the field of publishing—with

ROBERT NEUMANN's THE INQUEST

The first full-length novel written in English by the author of "Flood," "Mammon," "By the Waters of Babylon" and "Scene in Passing." 8/6

Within the next few months works by the following authors will be published:

Mulk Raj Anand, Sergei Borodin, Ilya Ehrenburg, Lion Feuchtwanger, Maria Kuncewiczowa, Emil Ludwig, Heinrich Mann, Alfred Neumann, Franz Werfel, Arnold Zweig, Mikhail Sholokhov, V. Yan, Alexei Tolstoy and others.

HUTCHINSON'S
INTERNATIONAL AUTHORS LTD
47, PRINCES GATE, LONDON, S.W.7